



Stanisław Wasylewski
Romans prababki

*Anna z Lubomirskich
Radziwiłłowa
karzelek Borusławski
Izabela Lubomirska
generałowa Stanisława
Zajączek
Maria Kunicka*

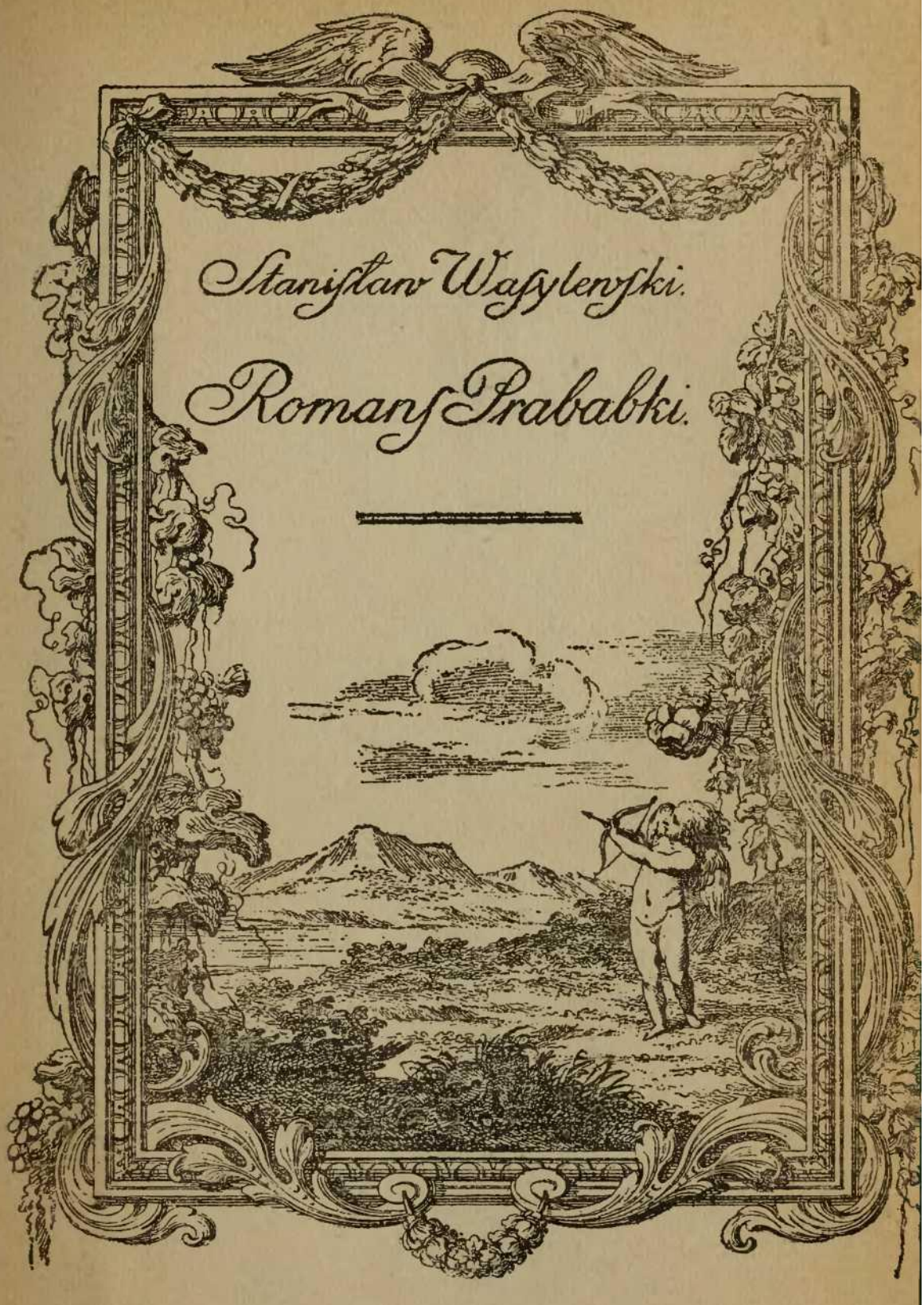


**STANISŁAWA
WASYLEWSKIEGO**

ROMANS PRABABKI

Stanisław Wasylewski.

Romany Prababki.



STAROŚCIANKA bolemowska była jedynaczką i chowała się u pani matki w Głogowie. Czy jej Marysieńka było, czy może Marychna, nie wiedzieć, dość, że na chrzcie świętym ksiądz proboszcz u głogowskiej fary na czele wielu imion imię Matki Zbawiciela wielkimi kulasami do metryki wpisał. Nosila starościanka trzewiczki na mułach i niecierpliwie czekała, rychło - li muchy lepić będzie na twarzy, sypiać w łóżeczku z namiotkami, używać czepka, różów i bielidła do sytości, słowem: rychłoli z jej - mościanki jejmością zostanie, a na obrączce zaręczynowej wyrują wedle starego obyczaju: „Serce moje i twoje. Boże, połącz oboje!**” Do czasu zasię żyła sobie w najśłodsze rozkwileniu, ucząc się zwolna wszystkiego, co wypada, przeróżnych scjencji owych, które księżniczkę od szlachcianki ordynaryjnej dystygować po

winny. A to: światowego poloru i wytworności życia, sztuk pięknych znajomości i francuskiej konwersacji. Jak robić tuwalnie, wyszywać zasłony, lub siaść do klawikordu, lub tańczyć menueta. Nie jestci ładna, też nie nazbyt bogata, więc niech przynajmniej rozumów poje, ile można najwięcej, niech wielkoświatowe pryncypia pozna i trwale posiadzie. I posiadała: już wie, że się nijak nie godzi używać w mowie języka polskiego pospolitego, bo to plebsowi chyba przystoi i czeladzi. Nawet do stajni idąc na świeże mleczko z ochmistrzynią, powie księżniczka do krówki: *Madame siwula donnez moi mleka!* Już wie, że człek pobożny słomy w krzyż złożonej na drodze nie przestąpi i to wie, że broń Boże jadać pietruszki, selerów lub owej korzennej czekolady, która krew gorącą w białejgłowie rozbudza. I to nareszcie, że stąpać trzeba, jako z partesów, a gadać, jak z trzynogu. Tak we wszelakich sentymentach ukształcała starościankę matka dobrodziejka. A pan starosta głogowski nie mieszał się do edukacji swojej jedynaczki, bo umarł dawno.

Nietylko nie znała starościanka ojca dobrodzieja, ale i później nie wiele o nim zasłyszcy. Zmarły w roku 1736 starosta Jan Lubomirski zaszczytów wielkich nie dopiął, rozumem gwałtownym nie sływał. Dumna tarcza herbowa u wjazdowej bramy w Głogowie przypomina codzien ojcowy ród i familję, choć po prawdzie nie wiedzieć, co w niej było kochać i pamiętać tak dalece. Nie znalazłeś w tym rodzie,

który wiódł się od ks. marszałka Hieronima, świetności godnych Plutarchowego pióra. Trzech stryjasków księżniczki też sama pycha rozpiera, która marszałka zgubiła. Bo i za cóż kochać stryja Jerzego? Wszakże on to w czasie konfederacji tarnogrodzkiej napadł Częstochowę i z Sasami ojczyznę zdradził, zaś stryj Aleksander zniemczał zupełnie pod wpływem żony. A cioci Ignasiowej, też Niemkini z rodu, chyba tego możnaby pozazdrościć, że została z czasem kochanicą Briihla, a pono nawet tajemną żoną króla Augusta III.

W czym innym natomiast konsolacja. Wujem ma starościanka najpierwszego w Rzeczypospolitej senatora. Pani matka rodziła się bowiem z Branickiej i siostrą była hetmanowi. Jakaż druga panna w Rzeczypospolitej całej szczyć się mogła koligacją podobną? Przeto nadęte jeżdżą obie z matką, że ledwie karetą nie pęknie. Za to w szkatule niezbyt obficie i z posagiem narazie nie tęgo. Wiadomo, och wiadomo: „bez dusiów niema przyczyny”, a dusiów w szkatule było mało. Szcoda ojcowa Głógów i Rybotycze ledwie na życie starczy i to z modestją przy fraucymerze nieświełym. Jest ci wprawdzie speranda, obfita nawet na podział ordynacji ostrogskiej, około czego pilnie się zabiega, ale tymczasem siedzieć trzeba na gło - gowskiem żytku. I siedziałyby obie z panią matką i płynęłyby dziecięce lata starościanki uśmiechów szczęśliwości wyglądającej.

A wiecie co zowie się szczęśliwością? Szczęśliwością zowie się chwila, w której starościanka wsiada z panią matką do karocy, sze - ścią maścistemi końmi zaprzężonej i jadą obie tam, gdzie złociste gryfy bram wjazdowych strzegą, gdzie wszem wobec włada pan hetman, nad królami świata chyba najstarszy: Do Białego Stoku.

Ogrody były w Białym Stoku cudowne i pokoje złotą lamą tapetowane, teatry, balety i kaskady z łabędzich dzióbów tryskające.

Marmury, ochronki, „trebhauzy” i szpitale, klawicymbały i komedjalnie.

Piktury kosztowne w ramach pozłocistych i monumenty przedziwne w alejach parkowych.

Pomarańczarnie, ptaszki i buduary, ba - letnicy z Rzymu, sopranistki z

Paryża.

Sto gąsiorów najprzedniejszych przy każdym obiedzie, sto wilków na rozkładzie jednego polowania, ale też sto zaledwie, nie więcej, książek w całej zamkowej bibliotece! *r.*

Na salonach las kontuszów czuprynami pawiment zamiata, na salonach francuskie ofi - cery pod jasn ą boazerj ą ścian.

Księżyki i wiercipięty, markizowie *d'avant hier* i wszystkie chyba *mesdames de Pologne*,

Próżność, zbytek, piększydła, arlekiny, gra - finie, rezydenci, poszóstni wielmoże, szlachta parokonna, świece w lichtarzach z umbrelkami.

Nic to, że niektóra dama jest filutką, nic to, że jej kawaler istny szaraj i filistyn o barwionej sierści. Do wszystkich śmieje się fortuna, jeśli uśmiechnął się pan hetman.

Kiedy pan hetman wyjeżdża, janczary i Węgry kompanjami broń prezentują, a na hauptwachu armaty wałą.

Gdy pani hetmanowa do karocy pozłocistej wsiada, sześciu pazików po sasku przybranych jej towarzyszy. A mają sznurówki blaszane, aby trzymali się ostro.

O 9-tej z rana rewja załogi, o 12-tej obiad galowy i przejażdżka, o 5-tej trupa śpiewaków włoskich, o 8-mej balet i rozhowory dyplomatów, a potem ulubione *marivaudage au bougeoir*. Wiecie co takiego? Gdy już panie i kawalerowie na spoczynek idą, wtedy się rozmawia jeszcze u drzwi sypialni ze świecą w ręku, rozmawia tak długo, póki świeca nie zgaśnie.

W tłumie gości przeróżnych zapodziała się nam starościanka. Cóż robi? A no, dziwuje się. Niewiele tam jeszcze z tego wszystkiego rozumie, ale gapi się, ile tylko srogie ochmistrzynie pozwolą. Patrzy wielkimi oczyma na gaszkowatą kawalerję, submitującą się do stópek dam. Patrzy i nie pojmuje: czemu za tymi papami z Francji damy jak oparzone latają i czemu pani marszałkowej róż przybladł na policzku, gdy z ogrodu wróciła? Albo ta pani krajczyna: ręce tuli w zarękawku, a piersi zachowała odkryte. Ze też nie zmarznie? Też nie wiedzieć przecz ciężko wzdycha pana

hetmanowa żona, która rzekła raz do tancerza: amantka bez kawalera, jest jako drzewo bez cienia!

Nie rozumie starościanka, a jeno biega po salonach, gdy goście się rozejdą. Ma koło kominka swoje ukochanie: zegar pewien przedziwny. Nie ową klepsydrę, na której śmierć strasznie kosą macha, ilekroć piasek przesypie się z jednej szklaneczki w drugą, nie tę, ale tamtą z murzynkami. Na dwu sfinksach marmurowych stoi zegarzysko ogromne, a przy niem dwu murzynów z pałkami w rękach. Wokół zegara las nieprzejrzący i drzewa o zielonem liściu. Naprawdę zielonym. A na gałęziach ptaszki. Trzeba czekać cierpliwie, gdy uderzy godzina. Wtedy obaj murzyni pałkami w tarczę biją, ptaszki wszystkie świegotać zaczynają i jak żywe przelatują po gałęziach, trzepocąc skrzydełkami. To było śliczne i codziennie więcej zachwycało księżniczkę.

Sypie się, sypie piasek w starych klepsydrach i lata biegną coraz wyżej, pannica wyrasta ze starościanki, coraz większa. Cóż kiedy nie ze wszystkim na pociechę pani matce. Arcy - mądra to prawda, ale też twarda, czupurna i mściwa. Ani za grosz niewieścich sentymentów, ani trochę kobiecej czułości. A złościca, że panny respektowane jedna po drugiej uciekają. Lubi sztuczki piękne i konwersację, rozczytuje się w Telemaku i Pamelii, ale największe ukochanie starościanki wcale nieprzystojne: w politykowaniu najwięcej gustuje.

Nawet nie bardzo dziwić się temu. Biały Stok zrobił swoje. Od dziecka przecież wsłuchiwała się starościanka w dyskursy polityczne, jakie pani matka wiedzie, to z hetmanem, to znowu z posłem wersalskim; od małości obija się o dziewczęce uszka rozhovor i targ dyplomatów, oraz wija się sprzężyny intryg wszelakich, które z dworu hetmańskiego początek biorąc, opasywały Rzeczpospolitą. A o tajnych „szryftach” pierwej usłyszy, niż o abecadle polskiem. Czasy są takie, że się nikt nawet 15-letniej polityczce nie dziwi. Białogłowy pasjonują się teraz w kunszcie publicznym więcej, niżeli nawet w kunsztach kochania. Pani Teresa Załuska przed trybunałem mowy prawi po łacinie, pani Kossakowska niedługo pocznie wodzić za nos Potockich, a gdy Barszczanie tłuc będą Moskala, to

kto im w Wersalu pomocy uprosi, jeśli nie Teofila Sapieżyna! Taka jest teraz moda: białogłowy odbiegły kołowrotka dla dyplomacji, później rzucą dyplomację dla gitary i dumań osjanicznych przy księżycu. Nie wszystkie dyplomatki znowu takie straszne, jak się wydaje, więc i my nie kłopotajmy się zawczasu kobiece sprawy starościanki. Pokaże i w nich temperament niezwykajny. Aż nadto go okaże, aż nadto!

Przymawiają zawsze starościance, że zła ludzi nie lubi, a właśnie bliźnich trzeba miłować, chociażby i nawet źle urodzonych. Ładnie miłować i za co?! Oto ją właśnie przy - krzywdzili najokropniej. Obiecywały sobie obie z matką wiele, z podziału ordynacji ostrogskiej” roił o tern pan starosta umierając, aż zostały nici! Krezusową fortunę rozdrapali co żywo inni koligaci, wszyscy inni Lubomirscy obłowili się sowicie i będą odtąd najpierwszą z jaśnie wielmożnych potencją - zasię pani starościna bolemowska, mimo wszelkie prawa i tytuły, dostała tylko - śmiech powiedzieć - jeden Koźmin w spadku! O zdrażliwa nadzieji ludzkich iluzjo! Odeszły obie z kwitkiem w obłoku najczarniejszych myśli, aby do końca żywota chować w sercach zawiść niesytą do rodu męża i ojca, do ludzi złych i upodlonych! Ciężkie chmury zalegały przeto wysokie czoło pani starościny. Determinowała na wszystkie sposoby nad dolą swojej jedynaczki. Nie dość, że nie piękna, jeszcze nieposażna. A przeto zdwojone starania w Białym Stoku, aby ulubioną zdawna myśl pani starościny w żywe ciało przyoblec. Sam pan hetman *in persona* trudził się, epistoły jakieś rozsyłał i starań przykładał.

I udało się. Jakoś latem roku 1753 poselstwo z Litwy stanęło w Głowie. Z Nieświeża, od J. G. Imć pana wojewody wileńskiego. Pani starościna pokraśniała i w dwójnasób dumy na obliczu przyczyniła. Pan wojewoda wileński, Michał „Rybeńku” Radziwiłł sumitował się najuprzejmiej o rękę starościanki dla swojego jedynaka. Czy tego, co go „Panie Kochanku** nazywają? A właśnie tego. Pan wojewoda wileński? Doskonale! Nad ukartowaniem tego marjażu pracowano właśnie w Białym Stoku. Nie dwa, nie cztery razy kojarzyli się Radzi - wiłły z Lubomirskimi i ciągle są powinowaci, teraz zaś chodziło o nowy związek *in politicis*

bardzo potrzebny, gwoli odciągnięcia królów nieświezkich od familji, gwoli sojuszu politycznego Nieświeża z Białym Stokiem. Więc się pan hetman nie namyślał długo, jeno dał zaraz listy instancjonalne w odpowiedzi: niechże wojewodzie wileński pojmie starościankę! A po cichu myślał". Niechże sobie pani siostra zażyje trochę z córką skarbów litewskich, bo je lepiej od litewskich żubrów fruktyfikować potrafi.

A w młodej panie, która wkrótce między damy Radziwiłłowskie zaliczoną być miała - burzyły się tymczasem chucie niecierpliwe.

KTÓŻBY tam starościankę o sentyment pytał, albo się jej „resentymentem” martwił?

Pan młody nie podobał się od pierwszego wejrzenia. Oczy wprowadzie błękitne, zato włosy rude. Krok jak u klaczy tatarskiej, tabaki pełno po palcach. Mimo trzystu par sukien nieochędożny: ręce od ucierania nosa błyszczą, niczem marmur, kapłona rozerwał ręką, pularde jada palcami. I nawet wcale nie wie, że na czoło wypada kawalerowi plaster smołowy przylepić, iżby było niezarośnięte w formie kwadratu. W językach słaby, z okrziesaniem nie tęgą. Nie taki wprowadzie głupi, jak ten Hieronim Sanguszko, co trzech żon swoich na palcach zliczyć nie umiał, ale zawsze. A gdzie tknąć, mówią jak najgorzej. Pono hulaka, raptus i pija - nica, podchmielony po tatarsku wydziwia, rąbie i pali naokół. Poco mu tam małżonki dostojnie

urodzonej, skoro on co wieczór dziewczę żadnej na wsi nie przepuści. Zmarnuje pannę, ledwie ją do łożnicy wprowadzi. Lecz któżby wojewodziankę o sentyment pytał, lub się jej resentymentem martwił?

Pani bolemowska mlaskała języczkiem na myśl o profitach z fortuny litewskiej, pan wojewoda wileński wiele sobie obiecywał po tym aljansie z Pranickimi. Marjaż śpiesznie postanowiono, mimo ciężką żałobę, jaka w Nieświeżu nastąpiła po śmierci starej wojewodziny (tej właśnie „księżnej pani”, o której kiedyś mówiliśmy). Jesienią roku pańskiego 1753 odbył się ślub w Mościskach z wielkim splendorem. Błogosławił nowożeńcom ksiądz biskup Sierakowski, a salwy armatnie w całej ziemi przemyskiej dudniły. Nawet gazeta we Lwowie się ukazująca, jakowys

„Kurjer Polski” pisała o akcie weselnym, co następuje: „Concursus gości był tak ogromny, że go miasto *capere* nie mogło. *In assistentia* licznych gości, dla których pomieszczenia opróżniono dwory okoliczne, nastąpił ślub przy rżęsystem z armat biciu tak pod ten czas, jakoteż i u stołów przy spełnianiu zdrowia królestwa Jejmości, oraz innych tak galanteryjnych, jako i uczuciowych. Potem tańce późno w noc *continuabantur*. Pośród gości same honoracjory: ojciec oblubieńca i matka oblubienicy, pani Zamojska z synem starostą płoskirowskim, panowie Branicki i Bra - cławski z jejmościami, wojewodzie Sapieha, pan Sołłohub generał artylerji, pan Goltz, generał - major, oraz magnaterja rozliczna z Kowla, Czehrynia, Krystynopola, Bełza i wszyskiej Rusi.

Choć po prawdzie niewiedzieć, czemu się tak radowali goście weselni. Bo żebyś ze świecą po całej ziemi polskiej był szukał, nie znalazłoby się gorszego oblubieńca od tego, co starościance bolemowskiej przypadł w udziale. Wstępowała przecież w łóżnicę spokojnie, miódów stanu nowego ciekawa, a przez panią matkę solennie upewniona, że zawsze tak na świe - cie bywa: i najgorszy raptus w baranka się odmienia, gdy jeno żony urodzonej skosztuje. Lecz pan małżonek nie odmienił się ani na krztynę. Pił, rąbał i zawadzaczył, z dziewczkami w biały dzień się włóczył, raz nawet przeciwko ojcu własnemu, instancję czyniącemu, korda dobył.

Pani matka, jak umie, pociesza młodkę. Taże - powiada - wyczekaj przystojnie choć trochę, a konsolacja sama potem przyjdzie. Ta - że, tłumaczy, tytuł wojewódzki tylko co mu się patrzy, więc nie miecznikową umrzesz, ale wojewodziną wileńską. Ale jakoż z nim wytrzymać, skoro trzeźwym nigdy nie jest, a na psie figle patrzeć nie sposób. Nie taki wcale głupi i nieokrzesany, jako mówią, mądry jest i przebiegły hulaka. Najpierw uczynił sobie harem wdzięczny na zamku, sprowadziwszy cały tuzin nibyto rezydentek, guwernantek i innych dziewczątek z fraucymeru. Nocami też dziwnie się dzieje. Zabawę rozpoczyna ulubione *larum*: na dziki odgłos bębna staje pod bronią cały obóz miecznikowskiego wojska i strzelają z armat przez całą noc, niby to, że nieprzyjaciel nadciąga. Lub znowu z poczem ułanów jedzie się po łup niewieści w ciche dworki. A szarganiec! Młodkę niesytą w alkwie zostawił, a

podczas w *raptus puellae* zabawia się i młode szlachcianki po pijanemu, jak się patrzy, oporządza i plugawi. Zasię rankiem nuże jejmość panią przepraszać. Zegarki jej pokazuje, jeden po drugim nakręca, kanarki sprowadził śpiewające kuranty, jeden co godzina, drugi co kwadrans. Zegarki i kanarki! A bodaj cię kaczka podeptała filistynie! Pan wojewoda ojciec także pociesza, a uspokaja synowę. Każe mu się przenieść do Żółkwi, potem starostwo mirowskie daje synowi (Żebyś się nareszcie ustatkował szaleńcze), ale tu miecznik jeszcze gorzej sobie poczyną.

Dosyć tego! Już pojęła pani miecznikowa, już i pani matka rozumie, że nici z dalszego pożycia. Bogata jest przecież i butna, krzywdy córuchnie czynić nie da. Odjedź dziecko pija - nicę co prędzej, do domu wracaj, rozwód z nim weźmiesz od łoża i fortuny. Teraz one obie *larum* uczyniły. A wiadomo jak głośno krzyczą białogłowy w instancjach. Pan wojewoda list za listem pisze do Warszawy, kołacząc o rozwód dla syna i zaklinając o łaskę ks. Młodziejowskiego, audytora sądów prymasowskich. Stało się, jako wszyscy chcieli. „Panie Kochanku” popijał dalej z kochankami, a młoda pani do matki wróciła, do Głogowa i Białego Stoku. Bóg widzi, że chciała być w statku małżeńskim niezłomna, lecz teraz nie zdzierży. Wszakże mnie panie małżonku, sam nauczyłeś „farsalij” niepotrzebnych, przez co obrzydziłam sobie honor i urodzenie.

Teraz rozumie, czemu to damy Radziwiłłowskie tak zawsze są nieogarnione w temperamencie i taki we krwi wigor niespokojny czują. A skoro Radziłłową jest, więc uczyni tak, jako inne damy rodu: poszuka konsolacji. Uciekła Sapieżanka po dwu latach udreki przy na Romans Prababki.²

wpół zidjociałym Hieronimie Radziwille, odbiegła go Czapska po siedmiu leciecli małżeństwa, doczekała z trudem jego śmierci Mączyńska. Clioć Hieronim baraneczek istny naprzeciw ks. miecznika. Albo Barbara z Zawiszów Radziwiłłowa? pomimo dzieci zrodzonych ze siebie pięć - naściorga awanturowała się z jakimś panem Łopottem, choć i jej mąż w poczet świątobliwych mógłby snąć zostać zaliczonym, gdyby go z miecznikiem postawić w paragonie. Więc i księżna miecznikowa, instancji rozwodowych nie czekając, rzuciła co prędzej jarzmo

mażeńskie. Była teraz wolna. Dla kogo? Sama dla siebie, dla nikogo jeszcze. Posłuszna słowom matczynym, pojechała do Białego Stoku, a gładkie tusculum hetmańskie wydało się jej teraz trzykroć cudowniejsze. I zgoła inne siuprzyzy odkrył przed damą stary zegar z murzynkami.

NIETYLKO wina szumiące, nietylko śpiewaków operowych i toalety dla pani hetmanowej sprowadzał ekstrapocztą z Paryża pan Branicki, lecz był też kordjalnym famulusem polityki wersalskiej. „Największa nasza nadzieja jest w radzie i pomocy Francji” - pisał i mawiał pan hetman wszem wobec - a gdy ze śmiercią hetmana w. kor. Potockiego przyszło mu z rozkoszą odmienić buławę polną na koronną - wziął równocześnie rząd i protekcję nad wszystką robotą francuską, w Polsce za lat ostatnich Augustusa Illgo. Zwało się to „sekretem królewskim”. Jaki był „sekret”, - wiadomo. Oficjalnej oziębłości przeciwstawiała Francja tajną niby - życzliwość, o której wiele mówią grzeczni panowie Broglie, Paulmy i Betański. W istocie zaś pracują pilnie, by Polskę w jak największym odmiecie anarchistycznym pogrążyć. Nietrudno o to, tern więcej, że tysiące liwrów płyną a płyną z kas wersalskich. Pan Branicki już święcie zdeklarowany jako republikant bierze sam obfite subsydja francuskie, a więcej jeszcze rozdaje. Sztab francuski zjechał na Podlasie i używa skwapliwie intrygi niewieściej. Pani Katarzyna Mniszchowa wciągnięta do sekretu i Amelja Briihlowa, pani Starzeńska, starościna brańska. Obowiązki dam wcale wdzięczne: rozsiewać złoto między szlachtę. Kieruje robotą szwajcarski obieżyświat pan Beck, sekretarz ambasady francuskiej, pozostający w wielkich łaskach u hetmana, bo starowina hetman ani się domyśla, z jaką instrukcją przysłano pana Becka do Białego Stoku. („Niechaj spęta hetmana tak, aby bez francuskiego pozwolenia nie mógł postąpić ani naprzód, ani wstecz. A skoro go już trzymamy za koniuszek prawej ręki, nie trudno go będzie złapać w pól”).

Żywiej teraz na zamku niż zawsze. Dźwięczą nowiutkie liwry i dukaty, kołują „szryfty” tajemne, kłębią się konferencje, sztafety, wizyty. Tem lepiej amatorowi figlować w zgiełku. Więc pan Mokronowski z uszanowaniem przykleja rogi hetmanowi, używając wszelakich uciech z jego połowicą, a wszystkie Francuzi

rozkochane po uszy i do sytości. Pani starościna bolemowska ma swój ważny wydział w polityce i erotyce polskiego Wersalu. W Paryżu wie już oddawna monsieur Paulmy, że może zawsze liczyć na nią, najgorliwszą zausznice. Widać to odrazu z niskich ukłonów, z estymy i hołdów, jakimi przez Francuzów otoczona.

Tedy i dziewczątka zwane od niedawna księżną miecznikową, zapomniało na Podlasiu niedolach swego marjażu. Bardzo szybko nauczyła ją mamusia robótek politycznych, wry - chle też odczuła ową dziwną rozkosz nurzania się w szumiących fluktach intrygi dworskiej. Poznały też wkrótce Francuziska jej obecność, dokładnie poznały. I poszły listy do Wersalu, obwieszczające, że na teatrum podlaskiem pojawiła się nowa aktorka. „Ta mała osóbką jest zła, jak tygrys, djabeł, nie kobieta!” - napisze niedługo z wielką irytacją pan Brühl w tajemnym liście do Paryża.

Zła, jak djabeł, tygrysica, ale nie dla wszystkich. Dla pana Briihla może, bo nudny zrzęda, skąpy i kostyczny. Ale z czasem może przydarzy się, że pani miecznikowa złagodzi owe tygrysie formy.

I przydarzyło się.

Latem roku 1755-go powitano w Białym Stoku nowego gościa, powitano kordjalniej, niż wszystkich dotąd przybyszów. Był to nowy, wielce umocniony poseł króla francuskiego, człek, który zapowiadał, jako będzie „rycerzem praw, wolności i prerogatyw Rpltej”, a przywoził z sobą nowe, gładkie frazesy, nowe giętke instrukcje, nowe tysiące dukatów. Monsieur Francois Michel Durand de Distroff był światowcem doskonałego stempla, wytwornisiem *der nier cri*, a przede wszystkim dyplomata szkoły kardynała de Richelieu. Błyszczał fryzurą, żabotami i najmilszą edukacją. Deklamował ustępy z poematów Woltera, nawet tych, które jeszcze z pod pras nie wyszły, znał romanse dam wytwornych, nawet te, o których jeszcze w anty - szambrach nie mówiono. Cel wojażu pana de Durand był wiele ważny: miał rozdmuchać jeszcze gwałtowniejszą niż dotąd walkę przeciw „familji”, zgłębić wpływ Anglii w Polsce, a na czele połączonych przeciw Czartoryskim stronnictw litewskich postawić kogo? - rozwiedzionego właśnie męża księżny miecznikowej. Lecz zanim zjednał ks. Radziwiłła, uległ wdziękom jego młodej rozwódki.

Jak to się stało, o tem mógłby wiele powiedzieć stary zegar z murzynkami w złotym pokoju, ten sam zegar, który znał księżniczkę, gdy jeszcze starościanką była.

Rozamorowali się w sobie oboje niemal od wejrzenia. Choć tu i ówdzie dyffidencję przeciw niemu czyniono, był przecież monsieur Durand mężem „na dwór urodzonym, mężem, który znał sztukę mowy i milczenia”. Wonieje całą ową cudną wodą angielską, którą na salonach Ludwika XV. rozpylają, a na swych lśniących pantofelkach z talonami nosi jeszcze pyły wersalskich parkietów. Rozamorowana ks. miecznikowa w panu pośle bez granic. I zasłuchana cała, gdy opowiada:

Otem, co jest *le grand couvert*, czyli obiad niedzielny w Wersalu, uroczysty i zawi - kłany *comme la messe*. podatkach osobnych, jakie na Francję nałożono, aby *la reine Leczińska*, ta wielka Polka (pod owem samem niebem, co wy tu wszystkie, urodzona) miała koronek do syta, o panu Wolterze, który ludzi uczy, jak mają życia używać:

Et la véritable sagesse Est de savoir fuir la tristesse Dans les bras de la volupté,

W słodkich kollokwiach, pod zegarem z murzynkami opowiadał o tem woniejący poseł, a księżna miecznikowa powtarzała sobie niby echo: *Est de savoir fuir la tristesse dans les bras de la volupté*. Smutku zażyła w życiu wiele, za wiele; mądrą być dotąd nie umiała. Pan Wolter zyskał w niej nową pojętną ucze - nicę, a monsieur Durand nie uchylił się przed spełnieniem obowiązku. Wszak nadarzyła się sposobność zjednania jeszcze jednej zwolenniczki dworowi francuskiemu. Zaczem okazał damie najszczerzą estymację, oraz uległość. Zamiast nad „sekretem króla” pracować posiadał sekrety serca młodej polskiej damy.

Śmieją się radośnie amorki na kaskadach nimfy marmurowe wpośród klombów, myśląc, że to miłość urodziła się w sercu ks. miecznikowej. Ale mylą się. Bo ona tylko - Woltera usłuchała i zaczyna nieśmiało słodzić swe tęsknoty. Markotno jej patrzeć, jak nocą bieżą pary rozkochane po alejach parku, markotno wiedzieć, że pani hetmanowa znika z Imć Mo - kronowskim w labiryntach oranżerji, a pani Węgierska umawia się z pułkownikiem na tajemny dyskurs pod platanami -

markotno, a owo właśnie jest konsolacja: A wkrótce potem pomknęły do Francji chybkie sztafety, że monsieur Durand sprawuje się dzielnie: nie zjednął wprawdzie dotąd Radziwiłła, za to zbałamucił Ra - dziwiłłoa. Mniej świetną etykietę zyska ks. miecznikowa w annałach dyplomacji francuskiej. *La Maîtresse du monsieur Durand*. Tak brzydko, bardzo brzydko będą ją stale nazywać w swych raportach niedyskretni panowie Briihl i Bernoit.

Odeszło w przeszłość wiele długich lat. Jeszcze nie był wstąpił na tron stolnik litewski, ten nauczyciel wytwornej lekkomyślności, jeszcze wtedy swawola stolicy nie zaszła tak daleko, że w niej dziesięć razy więcej rozwodów liczono, niż w całej Koronie i Litwie, ale przecież wesoło było w Briihłowskiej Warszawie. Zwolna, ale dokładnie francuziało miasto. Coraz ubywał z widoku pocziwy szlachciura z łbem podgo - lonym, ustępując pokornie miejsca panu kawalerowi z fryzowanymi kędziorami. Nauczono się już zapalać świece z umbrelkami, nauczono się prawić damom komplementa, „nie zawsze takie, jakie być winny w ustach chrześcijanina”. I z karafeczek, nie z kielichów półgarncowych pito duszkiem polską gorzałę.

Odeszło w przeszłość wiele długich lat. Na horyzont Rpltej zaciągały kręgiem chmury ciężkie, z których niedługo grom za gromem wypadnie. W stolicy szumiało od uciech. Umarł był właśnie w Dreźnie *chère Brühleczeek*, ten wielki wezyr Rzeczypospolitej i suweren króla - manekina, co miał sto dwadzieścia milj. złp^[^] majątności i peruk siedmset, co potraw trzydzieści zjadał na południe, życ skończył niedościgniony rozrzutniś, co paziem srebrnym u Augusta Mocnego karierę zaczynał. Umarł też za Briihlem król August III., zawisły nad Polską okoliczności najgorsze, lecz nikt w mankolję czarną nie popada. Rozkoszną była w Paryżu epoka Regencji, rozkosznie też zapowiada się w Warszawie chwila bezkrólewia.

Nareszcie damy polskie zrozumiały, że czas ostateczny i najwyższy na ratunek. Żle jest, że nierządem stoi Polska, niechaj stoi - salonem, jako Francja *Louis XV!* Więc zabiegają wszystkie, by dopełnić najnowszego przykazania. Niełatwo dopędzić, bo jakże odrazu sprostać Wersalowi, jak równocześnie wszystkim

dorównać, skąd wziąć owych gości wytwornych, którzy przy herbacie u pani de Bouflers „tworzą reli - gję honoru i wytworności”, gdzie szukać owych siedmiu dam, które u madame la comtesse Chauvelin „prezentują aktualnie siedm grzechów głównych”, jak wreszcie urządzisz *salon guatres glaces* na wzór ks. Conti? Nie wiadomo, jak tej nowej modzie nadażyć, tedy się małpuje na prawo i lewo.

Pani każda otwiera salon, w każdym pałacu zbiera się co wieczora *societa*.. Wszystkie partje i koterje mają swe *joury*. U Mniszcho - wej tańczą, w ambasadzie francuskiej grają faraona, u ks. kanclerza jest salon, u księdza prymasa salon, u Jerzowej Lubomirskiej, u strażnikowej, u Kayserlinga i w pałacu bruhlowskim co wieczór jarzą się pająki świec z umbrelkami. Wszędy ratują Polskę *assamble bale*, *reduty*. Na zakończenie zapust A. D. 1763 będą liczyć 900 masek u ks. kanclerza i jeszcze wszystkich nie doliczą.

W ratujących rządzie staje ofiarnie ks. miecznikowa. Jużby w niej trudno było rozpoznać starościankę bolemowską, nie jest też ową młódką, nieszczęśliwą, co miody małżeńskie we łzach rozpuściła. Ani lekkomyślnicą, drżącą w pudrowanych ramionach pana de Durand.

Pani mądra z niej wyrosła i każde słówko na troje przekąsić umie. Pani zimna i rachunkowa, co głowy od kształtu jeno nie trzyma na wysokiej szyjce. Już jej nijakich lekcji z Woltera nie potra, bo sama mocno w sztukach pięknych doświadczona. Sawantka, strojnisia, Dorota - jak to mówią - na Krygach i Wykrętach Kryglewiczówna.

A w owej bujnej chwili bezkrólewia zjechała do Warszawy. Trochę dlatego, by pomódz partji hetmańskiej Branickiego na króla wyforsować, trochę zaś by życia mądrze a dojrzałe użyć.

Już z dawna gazetki latały po kraju, że kupuje pałacyk pacowski przy Pijarskiej ulicy, oraz że ten pałacyk wedle gustu swego wybornego reparauje. Pan Marcin Matuszewicz tydzień cały w aktach i księgach praw grzebał, aby interes przeprowadzić. Nabył najpierw dla miecznikowej sumy na pałacyku zastawne od Dąbskiego, wojskiego sieradzkiego, a potem całe dziedzictwo tego pałacyku za 3000

czerwonych złp. Dalszej ekspensy nie żałując, 115.000 czerwonych włożyła w reparację. Niechajże ma pałac, jak i inne. Niechaj ma swój dwór pański, jak się patrzy. Nie jest gorszą od Briihleczi, która z Drezna plafony sprowadzała, ani od ks. generałowej, która wkrótce już wynajmie samego Bouchera do malowania Puław.

Jakże inaczej patrzy teraz na małżonka swego, którego dzieckiem odbiegła! Bez resentymentu nijakiego, z żalnością raczej. Bo chociaż trzęsie Litwą całą, niedźwiedź z niego dalej nieporadny. Ożenił się powtórnie z córką najzaciejszego wojewody Rzewuskiego, który niebawem wywiezion będzie do Moskwy. Ale i ten marjaż zgoła nieszczęsny. Bo z drugą żoną rozpoczął naraz swe dawne praktyki, a tem bezpieczniejsze i śmielsze, jako, że siedzi już teraz na kurulnem krześle wojewody wileńskiego. Pomyśleć, jakie gaudjum miała ks. miecznikowa na wieść, że i ta nowa pani odbiegła Radziwiłła, a przyłapaną wyprawiono na pokutę do Białego Kamienia na Rusi Czerwonej. A biedaczek wojewoda nie wie co już począć. I ani spodziewa się, że go jeszcze gorsze oczekują rzeczy!

Lecz cóż jej do Radziwiłła? Gnieździ się na dobre w kochanej Warszawie. Ma gotowizny sporo, bo właśnie sprzedała Koźmin i Wro - nowice Lubomirskim (udławcie się Harpagony!). Idą codzien „dusie” rulonami, na pikture i meble kosztowne, na burgundy dla gości. I co wieczora szemrze słodko przy stolikach faraona. do białego dnia czekają karety na dziedzińcu pacowskiego pałacyku...

ÉJE SUIS triste et rien ne peut dissiper ma *f tristesse*. *Je vous écrirai de Varsovie...*
Pan Henry ' Duval, jubiler genewski, szlifujący chwilowo djamenty Katarzyny w Petersburgu nie zdziwił się wcale, przeczytawszy te słowa w liście przyjaciela. Nasłuchał się o tem do znudzenia, od kiedy go wogóle znał. Młodzieniec smętnie piszący był takim już od kolebki, od chwili, gdy mu piastunka Robinsona i Żywoty Świętych do poduszki czytała. A cóż napisał przybywszy do Warszawy, o której wspomina? Napisał podobnie: „Bawię bez przerwy w najmilszem i naj - wystawniejszem towarzystwie świata. Rano i wieczór tańczymy na umor. *On se tire jour et nuit de coups de pistolets*. A przecież *je suits tout seul**. Dziwny jakiś człowiek, który w słodkiem węzowisku uciech, tańców, amatorów i asambli narzeka tak bardzo

na samotność. Istotnie dzi-

wny! Nietylko w tym względzie. Dzieckiem już marzył, aby zostać koniecznie królem i to koniecznie na bezludnej wyspie. Dostawszy się trafem na Martynikę wałęsał się tam długo, uczył delfiny sztuki aportowania i całował się z tygrysami, twierdząc, że to bardzo przyjemne. Z kolei studjował usilnie inżynierję wojskową w Paryżu, zamęczał ministerstwa dziwacznymi projektami, stracił do reszty wiarę w blaski francuskiej cywilizacji i postanowił co prędzej założyć kolonję ludzi szczęśliwych na wybrzeżach jeziora Aralskiego w Rosji. W tym celu sprzedał parę starych spodni, dopozyczył sobie kilka dukatów i pojechał tam, gdzie wówczas ławą jechali fryzjerzy i tancerki, wikipigrosze encyklopedyści - do Petersburga. Wyoglądał dokładnie kręcone loki kacapów i fioletowe mgły nad Newą, przyklęknął na jedno kolano, aby ucałować dłonie imperatorowej (nie miał szczęścia, jak Casanova, rozmawiać z nią przez cały ranek na temat reformy kalendarza), wałęsał się przez cztery lata po Rosji, żyjąc niewiadomo z czego i pisząc memorjały, których nikt nie czytał. Aż wreszcie zdecydował się wrócić, zawadziwszy jeszcze po drodze o pewien pono sympatyczny, ale *pauvre pays* - o Polskę.



BERNARDIN DE ST. PIERRE.

Teraz siedzi w Warszawie i skomli dalej, że mu smutno.

Ze też ma czas na takie refleksje! Bo rozrywają pięknego chłopca na wszystkie strony. Różowy i zgrabny, przemiły z figury i duszy, słowem śliczny. Zaledwie odszukał jedyne go znajomego pana Mercy, ambasadora wiedeńskiego, a już go wabi tysiące zaproszeń najczulszych. Bywa u księżny strażnikowej i u księżny generałowej, u ambasadora francuskiego w wiedeńskim poselstwie. Nie wszyscy przecież wiedzą, że jest tylko synem poczmistrza z Hawru, przeciwnie, gadki latają, że kosztował uciech w muskularnych ramionach Katarzyny. Nie może się dość nachwalić polskich cnót polskiej gościnności. Polacy to najmiłszy naród, serca złote, szalone, w barwach życia rozkochane! Lecz pomimo wszystko nudy djable!

Wróciwszy nocą do domu zwierza się dalej panu Duvalowi: „Jakże mi żal dawnych samotnych rozmów z Tobą, stary przyjacielu. Pisz „do mnie, rozmawiaj ze mną, a głos Twój rozer - „wie mię w samotni i pustce wielkiego domu, „w którym tu mieszkam. Jestem tak bardzo „sam... Najmniejszy wiatr przeciwny potrafi mię „zdmuchnąć na zawsze!” Nie inaczej pisze do swego protektora, dyplomaty Henina w PaRomans Prababki.^ ryżu: „Nie sądz, że położenie moje jest przy - „jemne. To tylko pozory. Wszystkie te tańce „i biesiady odurzają mnie, ale nie bawią. Och, „gdybym mógł wrócić do Paryża, albo gdybyś „mi wyrobił misję jakąś do Turcji, najmiłszego „kraju na świecie!”...

Jeden jest tylko człowiek w Warszawie, który młodzieńca trochę rozumie, z którymby warto żyć blisko, a tego właśnie widywać może rzadko, bo należy towarzysko do innej partji i niema możliwości spatykowania go na salonach partji hetmańskiej. Tym człowiekiem jest stolnik litewski, kandydat do tronu, ten sam, o którego wodzą się za łby najpierwsze potencje. Rozmawiał z nim już kilka razy o wszystkim, o Petersburgu, o tańcach, o Imperatorowej. Z nim możnaby pracować i żyć. Jeśli tylko zostanie królem! „Wtedy ja - woła młodzian - zostałbym w Polsce. Służyłbym mu z całego serca, ponieważ stworzony jest na to, aby go kochać! Już kilka razy miałem zaszczyt zjeść z nim wieczerzę”. Ale to są rzeczy niepewne, więc woli zaraz jechać z Warszawy, wszystko jedno gdzie, byle tu nie zostać. Do Wiednia, do Turcji. Duval wspominał mu kiedyś o budowie szos w Finlandji. *Voilà*: Finlandja!

Jedziemy do Fin - landji.

Gdy nagle wszystko odmieniło się. A to odrazu tego samego wieczora, kiedy pan Mercy wprowadził młodzieńca po raz pierwszy do pałacyku Pacowskiego na Pijarskiej ulicy, a zebrana w salonach societa z rozkoszą usłyszała obfite i słodko brzmiące tytuły, które pan Mercy prezentował: *Le chevalier Jacques Henri de Bernardin de Saint Pierre*, A nikt z obecnych, ani on sam także, nie wiedział, że w owej właśnie chwili jeden z najświetniejszych przyszłych pisarzy Francji poznawawał jedyną miłość swego życia, która niem przez długie lata władać potem miała.

Przybyszów z nad Sekwany wałęsało się w Warszawie setkami, *le chevalier Jacques Henri* nie był ani pierwszym, ani ostatnim, to pewna. Wszelako zrobił wrażenie. Damy osądziły z miejsca, że czuć go na milę miłością, że arcywzabnie formuje lazurowych oczu spojrzenia, że nosi piórka pachnące i zwierciadełka kieszonkowe. (Nie wiedzą, że ma w kieszeni pięć dukatów całego majątku). Nazywa się rozkosznie, och jakże rozkosznie. *Le chevalier Jacques Henri de Bernardin de Saint Pierre*. (Nie wiedzą, że te obfite tytuły nie ze wszystkim przynależą panu kawalerowi). Niesie z sobą woń naj pierwszych salonów Paryża i wysokiej szlachty (któżby przypuszczał, iż jest tylko synem poczmistrza z Hawru!) Damy osądziły jeszcze, jako jest prześlicznie smutny i zmęczony. (Nic dziwnego, skoro pieśczone był pono w muskularnych ramionach imperatorowej).

Tymczasem pan kaaler zapomniał odrazu oswych smutkach, o delfinach, tygrysach i kolonji ludzi szczęśliwych, o Francji, o kwiatkach na Martynice i o całym świecie Bożym. Zakochał się, jak student, od pierwszego wejrzenia.

Dlaczego to zrobił? wytłumaczy nam dokumentnie po latach biograf pana kawalera: „Księżna pani była młoda, ładna, rozumna, łączyła dumę Rzymianki z lekkością Francuzki miała wiele talentów i posiadała wiele języków. Mała, żywa, pociągająca, niczem Kleopatra, kochała cnotę i czyny wzniosłe. Czuło się, że chce żyć dla szczęścia, a potrafi umrzeć dla sławy. Kto ją raz ujrzał i usłyszał, musiał wspominać ją zawsze”.

Pan kawaler odmienił do gruntu zapatrywania. Kto śmiał wspominać o

wyjeździe, o nudach?! Polska jest najwspanialszym krajem na świecie, nigdy nikomu tak dobrze nie działa się pod słońcem, jak dzieje się teraz w Polsce panu Bemardinowi de Saint Pierre. Nie trzeba Wiednia, Turcji i kamieniołomów finlandzkich.

„Ten kraj mnie ciągnie i mam widoki być przy - „datnym, chociaż tak trudno tu o dobre stano - „wisko”.

Szybko, dziwnie szybko odmienił zapatrywania pan kawaler Henri Jaques.

„Wyznam Ci drogi przyjacielu (jako że „niczego przed Tobą nie kryję), *que fait fait „ici une inclination, qui pourrait mériter le nom, ydepassion*. Ma to ten dobry skutek, że wyręczyło „mię z humorów. Powiadam ci: miłość i tylko mi - „łość daje człowiekowi zadowolenie. Zrobiłem „to słodkie doświadczenie \ donoszę ci o tem „w sekrecie: Moja hipochorja leży pokonana!”

Zachodził w głowę poczciwy pan Duval nie mógł pojąć przyjaciela. Szukać w Paryżu, na Martynice i na Dalekim Wschodzie, spenetrować Moskwę i Newski prospekt, a znaleźć w Warszawie!

A jaki dumny synek poczmistrza z Hawru, że usidlał księżniczkę.

„Schlebiałoby to - powiada - miłości „własnej, gdybym ci zdradził, kto jest przedmiotem mego sentymentu. Ale wiesz, że mam „więcej delikatności, niż próżności. W każdym „razie znalazłem coś, co mię wiąże! Znalazłem „wdzięk niewysłowiony, rozum, znalazłem wzajemność w miłości!”

Pewny siebie jest pan kawaler, jak słyszymy. Czy aby słusznie? Czy mu istotnie księżna miecznikowa tak rycliło serce podała? Znamy ją przecież nie od wczoraj i wiemy: Nie była nigdy zbyt otworzystą, więc skądże tak odrazu przyklasnęła sentymentom pana kawalera?

Pan kawaler potroszę podobał się księżnej. Więcej, niż wszystkim damom, bo inny był dla niej, niżeli dla tamtych wszystkich. Miał tak samo lat dwadzieścia siedm, jak ona, miał przedziwną słodycz w rozmowie i równie dobrze uczesaną, jak umeblowaną głowę. Słuchała z zapałem jego opowieści, nie spostrzegłszy się, że rychło przybrały na temperaturze i buchają żarem sentymentu. Cóż robić? Mało ma

wprawdzie ks. miecznikowa - jak zwykle - czasu na erotyczne baraszki i mało na nie miejsca w życiu swem, do cna wypełnionem robotą polityczną. Ale pan kawaler goreje z każdą godziną więcej. Wywiedziała się najpierw, że jest bez dusia w kieszeni, więc go rulonami złota obdarowuje. Wyplucze ci szkatułę, kocha - neczko, do czysta, mówiły o tem ficygery, oswoj kałdun dbające. Wyplucze, ale kocha^ wyplucze, ale opowiada o miłości swojej słowami, jakich żadna z was nigdy nie słyszała.

Ze poto tylko przyjechał, by żyć z frantostwa, by w cudzych kwerendować żonkach? Niech żyje, niechaj kwerenduje! Alboż mi moich lat dwudziestu siedmiu żal?

Odtąd co wieczora zjawiał się pan kawaler na ulicy Pijarskiej, domownikiem zostawszy i dworakiem księżny miecznikowej. I coraz gwałtowniej brało go w swoją władzę uczucie dziwne, takie które tylko jeden człowiek we Francji znał i opisywał Jan Jakób Rousseau. A tak samo, jak ów St. Preux w „Nowej Heloizie” tak teraz pojawił się drugi, tak nieostrożny plebejczyk, kobietą z rodu otumaniony. Pilnujże losu swego, panie kawalerze i bacz byś więcej jeszcze łez żywych nie wylał, niż ich pan Rousseau w Heloizie zliczył!

Z całą pasją rzucił się teraz syn poczmistrza z Hawru w szumiące wiry zabaw, dopiero tu w Warszawie poznawszy, jak wygląda wytworny salon - paryski. Dziki odludek, który nie chciał słyszeć o cywilizacji i całował się z tygrysami, odwiedza najgorliwiej lśniące pawimenty, błyszczący na asambalach, gra na teatrum amatorskiem, a przede wszystkim - angażuje się czynnie w polityce partji hetmańskiej, chociaż już nie ulega wątpliwości, że kandydatura Jana IV. przepadła z kretesem. Widzi, że Pan

Bóg jest dobry, skoro tak uzgodnił przeciwne interesy: pracując na rzecz dyplomacji francuskiej, popiera się tem samem interesy polityczne swojej bogdanki. A najdziwniejsze to, że li tylko z miłości wstępuje pan kawaler w służby rozwiedzionego męża najmilszej ks. „Panie Kochanku”.

Na Litwie pachnie już oddawna wojną, wojska rosyjskie atakują Nieśwież, Słuck i Słonim, regimenty na służbie familji pozostające szachują Radziwiłła, gdy

znów pułki hetmańskie obozują pod Warszawą. Pan kawaler pała żądzą czynu, ach gdyby na miarę rycerzy średniowiecznych, czynu któryby go ustroił w skrzydła bohatera i otoczył nimbem w oczach Heloizy. Tedy zostaje ajentem Radziwiłłowskim do dyskretnych zleceń dyplomatycznych i razu pewnego wyjechał na front z majorem ułanów Michelisem, gdzieś aż pod Nieśwież, (aż tam, gdzie wtedy właśnie awanturница Teofila Radziwiłłówna strzelała fajerbalami do wroga, flirtując z panem Morawskim). Co i jak było, dokładnie niewiadomo, jakaś podróż w noc ciemną, jakaś zdrada straszliwa, groźby śmierci niechybnej i wiele innych mocno nadzwyczajnych rzeczy. W rezultacie dostał się pan kawaler w ręce ułanów Czartoryskiego i jako ajent Radziwiłłowski aresztowany. Powiadają, że będzie wydany w ręce Rosjan, zesłany na Sybir, może nawet życia sromotnie pozbawiony! Cudownie! Cierpi więc dla niej i za nią. Rycerz honoru i cnoty, bayard i trubadur. Teraz chyba urośnie w jej oczach! Dziesięć dni znosi z zaparciem się - niezbyt zresztą przykre - udręki więzienia i drży radośnie na wieść, że instancje o jego uwolnienie czyni nietylko poseł francuski i ks. strażnikowa, ale także ona...

Wypuszczony wraca na skrzydłach do Warszawy i staje się bohaterem dnia. „Przygody Bernardina” - wedle zapewnień jego przyjaciela - przedmiotem nieustannych rozmów w towarzystwie. Każdy chce poznać Francuza, który walczył w obronie wolności, a w nieszczęściu okazał tyle godności i odwagi”. Teraz dopiero zaimponował ks. miecznikowej. „Płocha, lekka i drwiąca wobec innych, wobec niego stawiała się czułą i zamyśloną, dzieliła jego upodobania, zgadywała myśli, a nawet zdawała się podzielać jego uczucia”.

Tak począł się rok, we wzruszenia najmilsze bogaty. „Dwadzieścia razy przez dzień wznosił się na wyżyny szczęścia i spadał w otchłanie bólu”. Uszczęśliwiała go nadzieją (wtedy poprzysięgał wieczną miłość) i zabijała niepewnością (wówczas obiecywał sobie, że nazajutrz wyjedzie). *En/m* wiodło się panu kawalerowi nierównie lepiej, aniżeli nieporadnemu kochankowi „Nowej Heloizy”. Wskazówki pana Russa wypełniono wiernie, zaczem wszystko to, co Jean Jacques w Clärens wymarzył, to przeżył i wypróbował dokładnie Jacques Henri w Warszawie.

Pewnego dnia - oddajmy znowu głos panu Aimé Martin - zaprosiła go księżna wraz z kółkiem znajomych do swej posiadłości, do Wiązowna. Przygotowano pojazdy, każdy wziął z sobą, wedle w Polsce przyjętego zwyczaju, sprzęty potrzebne nawet łóżka i towarzystwo ruszyło wesoło w drogę. Wśród odwiecznych dębów i sosen, w otoku leśnej gęstwiny, wznosił się zamek ks. miecznikowej. Bluszcze i powoje wiły się wokół drzew, szemrały strumyki, pachły poziomki, gruchały gołębie i śpiewały ptaszki. Zaledwie wysiadł z powozu pan kawaler, a zaraz zniknął rozmarzony w gęstwinie leśnej. Rozmyślając samotnie o miłości czuł się tak szczęśliwy, jak żaden ze śmiertelników. Z rozkoszą myślał nawet o swej śmierci, o łzach, któreby ona wylewała nad jego trumną. Ach! cóż mu śmierć, skoro oni oboje to wszechświat, *elle et lui voilà Vunivers i*

Gdy tak pogrążał się pan kawaler w marzeniach, zoczył nagle księżnę, która - P^^y - padkiem rzecz jasna - pojawiła się zamyślona nad brzegiem ruczaju. W pierwszej chwili chce uciec, oddalić się, aże wnet śpieszy za nią, by jej bardzo wiele wyznać, dobiega i - staje bez słowa. Księżniczkę ogarnia także zakłopotanie, tedy spojrziała na chmury, wyraziła obawę, że będzie burza, wsparła się o ramię towarzysza i ruszyli ku domowi. Lunał nawałny deszcz i odezwały się grzmoty, które bardzo przeraziły najmilszą. Przytuliła się do piersi kochanka, który uczył jej bicia serca i również przytulił głowę do jej piersi. Rozkoszny dreszcz wstrząsnął panem kawalerem. Padł w uniesieniu do stóp ukochanej i uwielbiał ją ze wszystkich sił. Zemdlona, bezwolna, bezbronna osunęła mu się w ramiona. I oddała mu się tak, jak Julja, on zaś szalony był, jako SaintPreux...

Cudowne rzeczy działy się odtąd na świecie. Panu kawalerowi wydało się, że jest władcą udzielnym w pałacyku przy ul. Pijarskiej, gdy zaś damy urządziły teatr amatorskie, zapragnął zostać Garrickiem. Albowiem składało się wspaniale: syn poczmistrza z Hawru występował w zespole, którego aktorami byli książęta i córki wojewodów. Syn poczmistrza z Hawrit grał Achillesa, gdy Ifigenią była kuzynka królów, Radziwiłłowa. A po skończonym przedstawieniu wracał do swej mansardy, za pięć dukatów wynajętej, i czuł, że właściwie nie jest zupełnie

szczęśliwy. Jasna pani kaprysi i szczeni mu coraz swych wdzięków, jasna pani ziębnie. Być może, że krew błękitna inaczej szumieć nie umie, zapewne wszystkie księżniczki świata są takie same. Pan kawaler pocieszał się, jak umie, ale truchlał na myśl, że kiedyś się może skończyć słodziuchna idylla. Już zaczynają mówić o tem na salonach, najmilsza nie dba swą reputację, ściągając na się gniew możne rodziny. O Janie Jakubie, jakże bystro przeczułeś, co znaczy nierówność urodzenia!

Obawy młodzieńca były słuszne. Księżna miecznikowa istotnie uznała, że czas zakończyć miłą zresztą awanturkę, bo i trudno ż)^cie całe zmieniać grotę Dydony. Miała już dosyć niebieskich oczu i cukierkowych siow pana kawalera. Zachwyty nad kwiatkiem i kamyczkiem, czułe tyrady o nieskończonej łasce przyrody, oniebiańskich słodyczach miłości zaczynały ją srodze nudzić. A przytem mówiono o rzeczy więcej, niż należało. By zerwać, użyła właśnie tego argumentu: reputacja, familja, względy rodowe, mamusia! Użyła z zupełnem powodzeniem, gdyż zarówno pan Bernardin SaintPierre, jak jego przyjaciel i biograf p. Aimé Martin uwierzyli skrupułom święcie.

Posłuchajmy, jak to się stało i przyznamy, że księżna miecznikowa była osobą dobrze wy^ chowaną, delikatną i sprytną.

Raz wieczorem St. Pierre zastał najmilszą we łzach. Móila mu, łkając:

- Wszystko skończone! Musimy się rozłączyć... Cała rodzina jest przeciw mnie, matka wzywa mnie do siebie! *Hélas! Nos beaux jours sont passés I*

A widząc, że bardzo wzburzony, dodała z czułością: *tm*

- O wspomóż mię, drogi przyjacielu i dodaj odwagi. Wierzę w ciebie i w twoją cnotę, wiem, że mnie nigdy nie opuścisz i dodasz sił do przetrwania!

Te słowa ułagodziły gwałtowność wyrzutów kochanka, który zawołał z bólem, upadając pod ciosem niespodziewanym:

- O cnotcie mówisz?! O cnotcie?! A czyli jest rzeczą cnotliwą, opuszczać człowieka, którego się kocha? Gdzież owo ustronie, na któ - rem razem żyć mieliśmy, gdzie chatka, w której mieszkać obiecywałaś wraz ze mną?! Takież to nasze szczęście i zapomniane już plany wczorajsze? *Non, chère Marie, fuyons ces lieux*, uciekajmy,

aby w innym kraju ukryć szczęście którego nam tu pozazdrozczą!

To rzekłszy, tulił ją w ramionach i oblewał łzami. A wówczas ona mówiła poczęła słowami, które dyktuje rozsądek i ukazała mu list, pisany przez matkę nad grobem stojącą, list z napomnieniem, w słowach tkliwych i surowych by córka oszczędzała jej wiek i nie przyspieszała śmierci. Bemardinowi zdawało się, że słyszy już nawet głos umierającej, więc zamyślił się głęboko. W milczeniu powziął decyzję odjazdu.

A wówczas ks. miecznikowa odetchnęła spokojnie i dała mu szybko listy polecające.

Pan kawaler pojechał do Wiednia. Nie bacząc nawet, że właśnie były głośno[^] dzwony kościołów warszawskich, obwołujące jego przyjaciela, stolnika Najjaśniejszym królem polskim. Nad modrym Dunajem przekonał się rychło, że reszta kuli ziemskiej nie jest[^] bynajmniej oficyną pałacyku przy ul. Pijarskiej. Otoczona sześciu lokajami hrabina, do której miał listy polecające, zapytała go najpierw przez zęby, czy nie jest kuzynem markizy de St. Pierre, którą poznała w Paryżu, poczem rzekła, iż x służbę na jej dworze bardzo trudno. Pan kawaler nagadał hrabinie impertynencji i zbiegł czempredzej do oberży, aby zapytać, czy nie nadeszły listy z Warszawy. List nadszedł istotnie, jeśli wierzyć panu AimeMartin. Był bardzo obszerny, czuły i stęskniony. Tak przynajmniej wydawało się biedakowi. Nawet nie doczytał do końca słodkiego pisania, dopadł jakiejś karocy królewskiej, która właśnie wracała z Wiednia do Polski i po kilku dniach podróży znalazł się z powrotem pod oknami ks. miecznikowej. Były wspaniale oświetlone. Jasna pani dawała tego wieczora bal dla ambasadorów. O Janie Jakóbie, o Nowa Heloizo, o przekłete podobieństwo sytuacji! Pan kawaler stanął pod oknem i patrzył. Słuchał muzyki i roz - gwarów zabawy. Potem dał hajdukowi dukata, posłał list i przez całą godzinę czekał daremnie na odpowiedź. Zaczem wpadł do wnętrza.

Ślepiący blask tysiąca świec, girlandy kwiatów, menuet i pary wirujące na tle kryształowych lusterek. „Niegdyś - zauważa smętnie pan AimeMartin - dla niego odbywały się te wspaniałe festyny, dziś mają dopomódz, by onim prędzej

zapomniano". Niedobra pani rozśmiała się głośno na widok młodzieńca, zgnębiła go karcącym spojrzeniem i poszła precz. Pomimo wszystko pan kawaler nie daje za wygraną. Wyczekał cierpliwie końca zabawy, wyszedł, wrócił, gdy już było pusto na salonach „wśliznął się przez furtkę tajemną i dotarł do miejsc, które tysiąc razy były świadkami jego szczęścia". Księżna miecznikowa była osobą dobrze wychowaną, sprytną i delikatną. Usłyszał znowu wiele czułych słów i teraz pojął nareszcie, że czułość jasnej pani ma źródło jedynie w litości: przestał być kochanym.

O Janie Jakóbie! O Nowa Heloizo, o zdradliwa nadziei ludzkich iluzjo!

Pan kawaler wrócił do swej dawnej mansardy i położył się spać. Rankiem zbudził go list równie zimny, jak rozsądny. Dnia 24. maja, w miesiącu róż i słowików pisała ks. miecznikowa w kształtnej francuszczyźnie do Bernar - dina de St. Pierre:

„Powiedział Pan, że sobie odbierze życie „z powodu nieszczęśliwej miłości. Postanowie - „nia tego jednak nie mógł powziąć ani czło - „wiek odważny, ani człowiek mądry. Prosisz „Pan o szacunek, a wszystko czynisz, co może „go tylko szacunku pozbawić. Wystawianie się „na zgubę jest zaletą mało wartą. Dowodem „prawdziwej odwagi jest umieć przewyciężyć „namiętność, która czyni nas nieszczęśliwymi.

„Oddawanie się szałowi poniża człowieka, który „winien się rządzić rozumem”.

Pan kawaler czytał z przerażeniem te rozumne maksymy, które były kamieniem w jego pudrowaną główkę. List kończył się radą i przestrogą:

„Oznajmiam Panu otwarcie, że to mój list „ostatni, dopóki nie zobaczę Pana w Jego oj - „czyźnie lub też dopóki nie dowiem się, że „powziąłeś jakąś rozsądną decyzję. Nie widzę „innej drogi dla Pana, jak tylko: powrót do „Paryża, gdzie Pan znajdzie starych przyja - „ciół!”

A wreszcie słowo ostatnie:

„Jadę na wieś do matki. Szaleństw Pańskiej „namiętności znosić nie mogę. Nie wrócę, do - „póki nie wyjedziesz, a napiszę wtedy, gdy „będę mogła listy adresować do Francji.

*Marie**

Pan kawaler przeczytał i zemdlał. Ocuciwszy się pobiegł raz jeszcze na Pijarską, by sprawdzić, czy istotnie pojechała. Pojechała istotnie. Zaczem le chevalier Jacques Henri ruszył w drogę, aby nigdy więcej do Warszawy nie wrócić.

Romans Prababk:4

Złamany mijał rogatki niewdzięcznego miasta i dumiał nad prawdziwością słów ks. Ga - lianiego, który powiedział: „Kobiety naszych czasów nie umieją kochać sercem, kochają głową, tylko głową, moje dziecko!”.

We ŁZACH cały jechał, gdzie go oczy poniosą. Po tysiąc razy powtarzał sobie, że zapomni, to znów tyleż razy ślubował: w jakimkolwiek czasie i miejscu obracać się będę, sercem jednostajnem myśleć o Tobie nie przestanę. W ekstrapoczcie było miejsce wolne do Wrocławia, więc pan kawaler podążył do Wrocławia, ale że tam nijakie króle nie mieszkały i dworu nie prowadziły, więc się rychło przeniósł do Drezna. Tu już się lepiej wydało, dwór saski, dużo splendoru i dużo ludzi zewsząd znajomych. Dawny koniuszy żony Augusta IIIgo, hr. Belegarde opowiada historję, która doskonale nastraja pana kawalera. Podawał raz ów koniuszy rękę królowej wsiadającej do karocy, gdy nagle rwetes się zrobił: monar - chini zgubiła kosztowną agrafę z brylantami. Wszelkie poszukiwania okazały się daremne,

4*

dopiero w rok później znalazł hr. Belegarde agrafę w zakładce rękawa frakowego i dzięki temu był odtąd w wielkich łaskach u królowej. Stąd widać, że niema złego, któreby się na dobre nie obróciło. A potem spaceru w przepysznych ogrodach Briihlowskich nad Elbą. Wałęsał się godzinami pan kawaler, zagubiony w smętnych rozmyślaniach. Podziwiał cudowną regenerację w przyrodzie, jej dobroć i siłę, potęgę i piękno. Ścinasz drzewo, a oto odrasta, zbierasz zboże, aby na wiosnę mieć nowe. Ród ludzki nie może przestać istnieć dlatego, że komuś jest źle na świecie. Musi żyć, pomimo swej żądry niebytu, pomimo ognia, miecza, pomimo nienawiści i szalonych pasji. Chodząc po ogrodach pan kawaler ufa święcie, że w tej samej chwili księżna miecznikowa z oczyma wzniesionemi w niebo przechadza się

po swym parku w Wiązownie.

Nagle zabiegł mu drogę strojny pazik z biletem w rękę. Bilet pieczętowany dwoma gołąbkami wodę pijąciami, przeznaczony był dla pana, a treść jego zapisał ukradkiem biograf pana kawalera:

„Rzuć smętne medytacje. Ranek życia „stworzony jest dla miłości. Chcę cię „ustroić wieńcami róż, znam lekarstwo na „wszystkie bole. Ale spiesz się! Pamiętaj, „że miłość ucieka, jak ptak”.

Strojny pazik nie rzekłszy ani słowa, wskazał mu drogę za sobą i przez drzwi ukryte w murze ogrodowym wprowadził do pałacu z bajki. W trybularzach płonęły rozkoszne perfumy, spowijając pokoje w chmury słodkiego dymu, wśród kolumn marmurowych rozkwitały najpyszniejsze kwiaty wschodu. Ktoś rzucił panu kawalerowi wieniec z róż na czoło. A miał ten ktoś długie złote włosy wokół szyjki, oczy koloru nieba i uśmiech bogiń Egiptu.

„Koronuję twe czoło różami, aby zeń smutki odpędzić” - wyrzekła nimfa tajemnicza, która wiała wieńce. Musisz mi wyjaśnić przyczyny twego bólu, z którym bardzo współczuję - dodała, chyląc oczy z lekkim zakłopotaniem, które podobne było do skromności. - Chcę być, jako słowik, który śpiewa i jako kwiat, który więdnie. Należy umieć odbierać szczęście bogom i nie przykładać zbyt wielkiej wagi do życia. Nie po to jesteś stworzony, aby rozumieć, lecz, aby używać!”

Gdy poczuł róże na skroniach, wydało się panu kawalerowi, że o wszystkim zapomniał, że był ów wieniec haustem wody letejskiej, odbierającej pamięć przeszłych bólów. I rozpoczęła się pomiędzy nimi najmiłsza rozmowa, której, jak zapewnia nasz biograf, nie zapomniał pan kawaler do końca dni swoich. Po tem tańczyła mu nimfa w gronie swych bale-^ tnie, przyjąwszy na się postacie Wenery, Kali - pso i różnych innych, skąpo ubranych bogiń Olimpa. A potem poszedł pan kawaler do domu i dowiedział się od hr. Belegarde, że nimfa jest metresą bogatego żydowina drezdeńskiego, który na ośm dni wyjechał za intere-^ sami.

St. Pierre podążył do Berlina z zamiarem' wstąpienia w służby Fryderyka. Pragnie uzyskać stopień majora i służyć w Warmji. Dlaczego koniecznie w Warmji?

Bo to bliżej Warszawy i ulicy Pijarskiej. Ale zamiar nie udał się. Fryderyk nie kwapił się dać Francuzowi posadę, przeznaczoną dla junkrów poczdamskich. Zresztą w Berlinie i tak nie świetnie. Dwór beznadziejny, królowa ma zaledwie dwóch szambelanów i to kulawych, paziowie ubrani podle, jeść dają fatalnie, a król nieznośny. Skąpy i gderliwy, nie wierzy w nieśmiertelność duszy, pogardza ludźmi, nie kocha przyrody. Jeśli gdzie dobrze panu kawalerowi, to chyba u starego Taubenheima, który żyje z córkami na sposób patryjarchalny, doji krówki, podlewa kwiatki i powiada: Ot, mógłbyś, stary awanturniku, ożenić się z moją córką. Będziemy razem podlewali kwiatki.

Jaques Henri nie przyjął jednakże propozycji starego Prusaka i zemknął, jak warjat do Francji, gdzie już pewnie czekają listy z Polski. Bo przecież obiecała. Listy czekały, ale - z Normandji z wiadomością o śmierci ojca. Dowiedział się przytem o wyjeździe braci do Indyj, o wstąpieniu siostry do klasztoru i o tem, że jest odtąd na świecie samiuteńki. Czyba śladem siostry wstąpić do klasztoru? Dobrze, a nuż jednak ks. miecznikowa przyjedzie tymczasem do Paryża? Było panu kawalerowi bardzo smutno i pisał do przyjaciela, tego samego, któremu ongi radości swoje obwieszczał: „Jak wół w jarzmie, żłobię bruzdę, zwaną życiem, nie widząc nikogo, ani przed sobą, ani za sobą”.

Gdy nagle zobaczył ją! Żywą ks. miecznikową, taką samą, jak pożegnał w Warszawie. Było to pod wieczór. Bernardin de St. Pierre szedł spieszenie przez ogrody wersalskie, przeciskając się przez tłumy, biorące udział w jakiejś uroczystości. Urządzano ognie sztuczne, w tem otworzyło się jedno z okien pałacu i stanęła w niem - ona. Napewne ona! Nikt inny nie ma tego blasku w oczach, świecących jasno w ciemności. Ubrana wytwornie, przyglądała się fajerwerkowi. A kiedy zgasły ostatnie rakiety, znikła. Pana kawalera przykuło do ścieżki. Doczekał końca uroczystości, został sam w opustoszałych ogrodach i patrzył daremnie w zamknięte okno. A potem cały tydzień uparcie szukał w Paryżu. Nareszcie spotkał kogoś, kto świeżo przybył z dworu warszawskiego i już wie napewne: Ks. miecznikowa krokiem nie ruszyła się z Polski, żyje u siebie na wsi w zupełnej

samotności. A przecież widział ją w oknie wersalskiem!

Pan kawaler wymyślił sobie nowe zatrudnienie. Aby coś robić, aby zapomnieć - pisze. O Polsce naturalnie. Opracowuje swoją *Pologne*, z której dowodnie widać, że niewiele poznał Polskę poza pałacykiem przy ul. Pijarskiej. Wybaczcie mu, gdy uwagi czyni kaśliwe, wszakże powodów miał aż nadto. Polska cała wisi u klamki kilku wielkich panów. W tym kraju niema rządu, handlu, ani bezpieczeństwa. Jedynie kobiety są ostoją cywilizacji w Polsce. Nie piękne, ale mają wdzięk szczególny w swych malutkich nóżkach. (*Mais elles ont une beauté particulière, cest la petitesse de leurs pieds*). Gdyby nie kobiety, kraj ten pogrążyłby się w otchłani barbarzyństwa. One tam pielęgnują cnoty towarzyskie, literaturę, muzykę *et des arts agréables*. *Le vieux paysan polonais*, (tytuł drugiej rozprawy pana kawalera), mówi jeszcze więcej: „Nasi panowie są źli i okrutni i tylko czasem trafiają się wyjątki tak szlachetne, jak ks. wojewoda ziem ruskich, jak ks. strażnikowa i - (czyżby mogło być inaczej!) ks. miecznikowa”. Cóż kiedy te refleksje mało dają zadowolenia! Dla odmiany zaczyna pan kawaler pisać memorjały do rządu w sprawie polityki francuskiej w Polsce i poszedł z jednym takim do znakomitego dyplomaty pana de Durand, bo napewne nic nigdy nie słyszał o - zegarze z murzynkami. Konferuje do znudzenia z Durandem, potem z Ber - teulem i de Mercym, a wreszcie nabiera przekonania, że nie doczeka się ks. miecznikowej. Życie w Paryżu stało się nieznośne, ludzie go irytują, zaczem przyjmuje posadę inżyniera królewskiego na Madagaskarze. Ma doskonałą myśl: stworzy tam kolonję ludzi tak szczęśliwych, aby się stali wzorem dla całego świata.

Za wszystką gotówkę, jaką miał, zakupił trochę książek dla Madagaskarczyków, wziął Platona i Plutarcha, nauczycieli szczęścia, zaczem z ukochanym pieskiem, kompasem i bielizną, (którą mu praczka już na kredyt uprała) siadł na okręt w Hawrze.

Laissons là les Sarmates et leurs inconstants beautés! - to pierwsze słowa, jakie z wojażu napisze.

A kiedy o panu kawalerze słych już zupełnie zaginął, zjechała ks.

miecznikowa na bulwary Paryża. W jakim celu i za jakimi interesami, czy istotnie w poszukiwaniu pana kawalera, tego się już nie dowiesz. 1 tylko w korespondencji króla Stanisława Augusta zachował się list jej z Paryża z datą: 7. marca 1768. List o protekcję naturalnie i to dla jakiegoś Francuza, któremu chce w Polsce ' otworzyć drogę do kariery. Pisanie mądre bardzo i sprytne, z którego przekonujemy się, jak dobrze umie sobie radzić z ludźmi. I jak doskonale wie, czem sobie ująć króla Stasia! Oto posyła mu z Paryża przez umyślnego posłańca dwa rzadkie sztychy w upominku, oraz kupuje dla jego zbiorów portret pani de Pompadour, która właśnie umarła. Można sobie wyobrazić, jak dalece uszczęśliwiony był król jegomością z prezentu i dodawać nie trzeba, że szybko suplikę załatwił.

Ale nie długo zabawiła ks. miecznikowa nad Sekwaną. Powołały rychło do kraju wysokie sprawy polityczne, zawezwano ją do pracy, która nam rozwódkę ks. Radziwiłła w dostoj - nem przedstawia świetle. Spotkamy ks. miecznikową, w gronie tych, którzy ogień Baru wzniecili, poznamy jako najgorliwszą rycerzy konfederackich współpracownicę, zaliczymy ją do rzędu cnotliwych białogłów, które o sukursa dla walczących zabiegały, pertrakcje w gabinetach wiodły, strzępy sutanny ks. Marka, jak relikwie pod materac kładły, żołnierza w nie[uznamy na ordynansie i dzielną barskich spraw Pentesileję.

VII.

CHODZIŁY sobie w kontusikach z grodeturu, białymi popielicami wybitych i smętnie podśpiewywały: „Przebóg, kto czuje, niechaj ratuje Matkę Ojczyznę, widząc jej bliźnię”. Zasię każdy z towarzyszy, choćby miał nos, jak wino - grad, przyglądał się damom z przystojnem pożądaniem. Pan Puławski wzdychał, ilekroć księżna Kurońska śpiewać poczęła, ks. Marek Karmelita smakował w konfiturkach i miodzie pani cześnikowej dobrodziejki, Ignacy Bohusz, ten przemądry Bohusz, biegał jako żaczek za ks. Teofilą, Miączyński zalecał się do Francuzek, Pac emablował podczaszanę Potocką, a pocóż szukać więcej, skoro nawet stara Mniszchowa skokietowała Dumouriera i Wielhorskiego. Babską sprawą stała się konfederacja, babską jest wojna barska, białogłowy rej w niej wodzą i nic tu nie pomoże sierdzenie

się towarzyszy.

9 świętami obwieszonych szyszaki. Potożeśmy przysięgali „Bogu jednemu w trzech osobach, Przewyższonej Paniency i Ojcu świętemu, szefowi Kościoła Bożego”, iżby nam teraz koczodany prym w generalność wiodły? Potośmy ścigać przyobiecowali „na życiu i mieniu Stanisława Augusta, tyrana i uzurpatora” - ażeby teraz w babskiej walczyć dyrekcji?

Ale tak widno było. Odkąd Bar uległ, a ks. Marek w niewolę popadł, cudu żadnego” mimo obietnicy, nie uczyniwszy, gdy rozterk przekłety rozluźnił chorągwie, gdy nikt już nie wiedział, o co się bije, a Moskal dalej krwawo w kraju figlował, kiedy nareszcie raz pan Pułaski omal się z księdzem biskupem Kamie* nieckim nie pobili - wtedy już nic innego nie pozostało, jak kołatać ze wszystkich sił o ratunek obcy.

W tej intencji obwołano generalność cieszyńską, a po zaciętej wojnie Moskwy z Turkiem nie tracili Barszczanie nadziei, iż sprawa na dobre się obróci. Francja dostarczy wojska i pieniędzy, Austria otworzy granice 16 tysiącom korpusu saskiego pod wodzą ks. Karola Kurońskiego, od granic Turcji nadciągnie Joachim Potocki, oraz Michał Krasiński z resztą rycerstwa barskiego, potem ogłoszono uroczyste bezkrólewie, a potem, kto wie, może spadną nawet dwie głowy z szafotu: króla jedna, Repnina druga. Lecz wpierw trzeba u dworów kołatać, zabiegać, tłumaczyć. Do zabiegania i kołatań najlepsze zawsze białogłowy, więc ks. biskup Kamieniecki wszystkie do roboty zaprzę - *gnął*. Nikt im oręza do rącząt słabych nie wkłada, ale - gadać z Francuzami, gdy przyjadą, o subsydja zabiegać, łagodzić nadto bujne panów konfederatów temperamenty, rozwijać kunszt kobiecej dyplomacji u dworów - oto chwalebne dla białogłów zadanie.

Cztery zaś były pryncypalne ks. biskupa współpracownice. Nie jakieś babska wyśmiar - dle, owszem nie stare, kwitnące, a mądre. Całą generalność w kozi róg zapędzają, taka u nich siła zasad i pryncypiów. Cztery ich było: Pani Brzostowska, kasztelanowa połocka, zabiegała w Dreźnie u elektorowej saskiej, ks. Teofila Sapieżyna spisywała się dzielnie w Paryżu, uganiając po sesjach, konwentyklach i

gabinetach. Amelja z Brihlów Mniszchowa, lwica i grandedama, którą znacie z Warszawy, wspierała Barszczan dobrym tonem, sztuką intrygi i amatorami. Czwartą w tem gronie była ks. miecznikowa. Jesienią r. 1769 zjechała do Białej i z miejsca do krosien polityki zasiada.

Wielu znajomych napotkała, a najdziwniej jej chyba było spotkać się poraż wtóry z mężem przy jednym stole i w jednej partji. Nie był to teraz dawny król Nieświeski; bez dusia w kalecie, biedny, jak wszyscy wygnańcy, spacerował po Białej i Cieszynie i nie mógł nawet do Porty w posły pojechać.

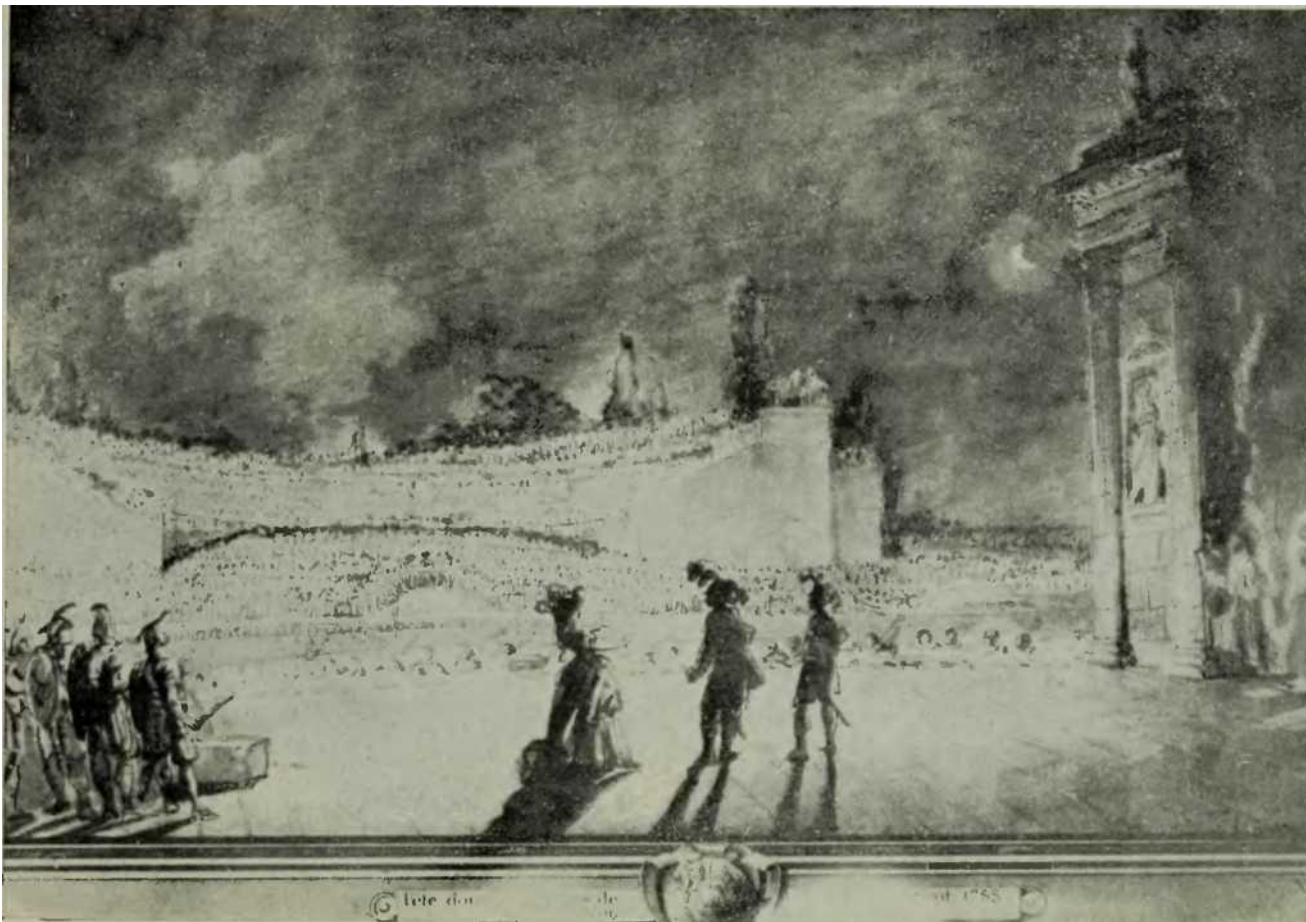
Mówią jej odrazu, że w kasach generalno - ści krucho. Więc szle ks. miecznikowa listy do wuja Branickiego, który od początku przyjazny jest Barszczanom. Już był dawniej posłał panu Pułaskiemu swoją chorągiew janczarską. Teraz zasię sypnie staruszek raz i drugi dziesiątkiem tysięcy dusjów na cele generalności. A potem czeka ks. miecznikową arcyważny wojaż do Wiednia. Niechaj czyni to samo, co Sapieżyna w Paryżu, a Brzostowska w Dreźnie, tembar - dziej, skoro z dawna tak dobrze jest u dworu rakuskiego widzianą i obie z matką Jejmością pyszną się godnościami dam Krzyża gwiazdzistego.

W ostatecznej już chwili, gdy Moskale nawet Śląskowi i grozić poczynają, jedzie ks. miecznikowa, jako ablegatka generalności, do Wiednia. Z nią razem Potocki, starosta szcze - rzecki i gen. Zboiński. Niech wydobędą z Kau - nitza, co tylko się da, niech, na miły Bóg, krzyczą głośno o sukursa. Kaunitz, człek śliski i twardy, pukać trzeba u posła francuskiego i u powierników Marji Teresy, wszędy i na wszystkie rodzaje.

Biją się, ostatka sił dobywając, Barszczanie, a ks. miecznikowa puka u wiedeńskich wrót. Wie dobrze, jak to czynić, bo zna tajne ścieżki dyplomacji i wszystką biedę generalności. Od jesieni 1769 do lata 1770 bezprze - stannie siedzi w Wiedniu. Dwór wiedeński przeznaczył do spraw konfederackich dwóch starych i głupich generałów: Nauendorfa i Esterhazego. Udawali oni wielkich przyjaciół generalności, więc zrazu stały sprawy doskonale. „Powolność gen. Nauendorfa - tak donosił Pac ks. biskupowi - jest grzeczna i będzie miała naszą wdzięczność. Do

księżny miecznikowej będzie pisano, aby postąpiła z Nauen - dorfem podług rady JWPana, ażali się nie uda; lecz i tej, kto wie, czy ostrożność własna tego kroku nie odradzi”.

Drugą instancją, która pomódz miała, był poseł francuski w Wiedniu, monsieur Durfort, który jeszcze pełnił swój urząd, ale wkrótce miał ustąpić miejsca innemu. Wiadomościom oprzyjeździe tego nowego posła towarzyszyły gadki wielce radosne. Pono wiezie on z Wer-



NORBLIN J. P. - FESTIVAL W ŁAZIENKACH WYROKU 1781.

salu wieści dla Polski ważne, dużo monety i posiłków, oficerowie z nim jadą i broń, dużo broni, pono nakłoni wreszcie lękliwą Austrię, by stanowczo pomogła konfederatom. A wiecie jak się zwał ten tak niecierpliwie oczekiwany człowiek, który miał rzekomo na nowe drogi pchnąć alians Francji z generalnością i dopomódz marznącej już na Węgrzech konfederacji do ostatecznej wiktory nad Moskwą? Wiecie^ kto do Wiednia przyjechał?

Pektoralik zwany sercem począł tykać gwałtownie w dyplomatce. Zwidziały się jej młode, białostockie lata, zegar z murzynkami i cieplarnia, przypomniał się pan Wolter i pierwsze dreszcze miłosne, zapachniały kwiaty wszystkie i uroki dwudziestych siódmych lat... Na posła francuskiego do Wiednia przyjeżdżał pan Durand, tenże sam, co przed piętnastu laty zjechał był również letnią porą do Białego Stoku.

I oto z nim miała teraz odbywać kollok - wia osobne ablegatka generalności. Pektoralik zwany sercem uderzał gwałtownie, miała iść z nim na kollokwia osobne. Czy został taki sam jak dawniej: słodki w amorach, a twardy i krochmalny w negocjacjach? Nie o sentyment, dziś, a o sprawę chodzi. Czy pozna

Romans Prababki.5

W obecnej ablegatce generalności „złą jak djabeł” rozwódkę z Białego Stoku? To pewna, że już nic dlań nie czuła, wspomnienia dawne przysłonił czas no i ten grzeczny chłopczyk, który na Martynice całował się z tygrysami.

Ale nietylko osoba pana Durand o dawnych przypominała czasach. Ktoś trzeci zjawił się jeszcze na wiedeńskim bruku: wytrwały amant ciotki Branickiej, dziś totumfacki króla Stasia, tak jak był ongi hetmana: wojewoda Mokronowski. Przyjechał tu w misji od króla, by zadać cios śmiertelny konfederatom, i zniweczyć wszystko to, coby może ks. miecznikowa wskórać mogła.

Rozpoczęła się gra dziwna między trojgiem dawnych przyjaciół. Wojewoda nalegał na Duranda, iżby coprędzej zerwał z generalnością, a popierał króla, miecznikowa zaś molestowała go najgoręcej o pomoc dla konfederacji, o broń i pieniądze, o detronizację stolnika.

„Pomnij panie pośle - mówiła - owe dziatki niewinne, które pan Drewicz, generał Imperatorowej na spisy kozackie wbijać każe, pomnij pasy krwawe, darte przezeń żywcem z konfederackiego niewolnika!” Mówiła, a koral jej ust odstępował.

A wtedy zauważył wojewoda, iż jako żywo tak źle być nie może, skoro tenże sam Drewicz dopiero otrzymał wstęgę Orła Białego z rąk króla jegomości!

Widocznie w sztabie konfederackim zrozumiano rychło dziwność tych

negocjacji, skoro w liście szyfrowanym taką otrzymał ks. biskup Krasieński relację: „Mokronowski jedzie do Wiednia, gdzie będzie pertraktował z panem Durandem. Przestrzeżono nas o tem. Należy się obawiać, że może on nakłonić księżną miecznikową do jakowegoś kroku fałszywego”.

Jakże się zachował Francuz, wzięty w dwa ognie? „Wszystko można, wszystko można, lecz powoli i z ostrożną” rzekł im obojgu w odpowiedzi monsieur Durand. Daleki był od tego, aby jednej lub drugiej stronie wygodzić. Instrukcje paryskie nakazywały zgoła co innego: nie przechylać się ku nijakim, zbyt stanowczym decyzjom. A wkrótce potem zamach na osobę królewską, dokonany przez konfederatów, stał się wygodnym pretekstem, pod którym obie możne potencje usunęły się od popierania Generalności. Cóż tedy wskórała zabiegliwa dyplomatką? Zawiodłaż w zupełności nadzieje, konfederatów? Zrobiła, co mogła. Jeżeli dziś uczy nas historia, że poseł wiedeński Durand postarał się o pierwszy obszerniejszy transport oficerów francuskich do Polski, że wpłynął na przyspieszenie ekspedycji Dumouriera, to była w tem niewątpliwie i ks. miecznikowej zasługa.

Tymczasem generalność proklamowała uroczyste bezkrólewie i szły po kraju manifesty, wszem wobec nakazujące: „Stanisława Augusta Poniatowskiego, intruza, uzurpatora, tyrana, jeśliby jeszcze utrzymywać się i w narodzie mieszać ważył, natenczas wszystkim otwartą lub tajemną mocą prześladować go, bez żadnego na życie względu znosić, nietylko dozwalamy, ale *amore publici* obligujemy i zalecamy”. Ale nie było już komu tych słów mocnych w czyny przemieniać. Wziął ciągi Dumourier, w niewolę poszedł ks. biskup, padła Lanckorona, Tyniec^ Częstochowa. Generalność kapitulowała. Najtwardsi z Barszczan, Wielhorski, Ogiński, podpisali reces od konfederacji, uznając pokornie pierwszy podział Rzeczypospolitej. Poszło sporo aktorów pryncypalnych na tułaczkę. Kazimierz Pułaski na drugą półkulę wyjechał, Radziwiłł tułał się po Włoszech, Wenecji, Raguzie, a wielu Francuzów brnęło w śniegi sybirskie. „Potrzebni mi są tam - pisała drwiąco Katarzyna do d'Alemberta - dla zaprowadzenia pięknych manier w tych prowincjach”.

Nie wróciła też odrazu do Polski ks. miecznikowa. Poniosły ją koleje losu znowu do Paryża, tym razem nie jako wesołą wojażerkę, ale smętną po barskiej klęsce wygnankę. Było kiedyś za dobrych czasów mówione w konfederacji aby z wdzięczności wybić medal na cześć Ludwika XV. z napisem: „Mścicielowi wolności polskiej”. Zaprawdę nie przyszło to teraz na myśl Barszczance. Jadąc miała myśl spokojną i dobre o swej akcji przeświadczenie. Śnać nie ostatnią była w rządzie zasłużonych i powinności dopełniła, skoro czynny w owym czasie we Wiedniu Józef Wybicki, człowiek czcigodny, do pochwał nieskory, takowe słowa konotował w swoim pamiętniku: „Muszę tu wspomnieć i księżnę miecznikową Radziwiłłową, której piękna dusza i obszerne wiadomości ważną w sprawie ojczyznej miały rolę”.

VIII.

JAQUES Henri Bernardin de St. Pierre wyjeżdżał z panem Rulhierem na wyspę Madagaskar, aby tam uszczęśliwić ludzkość budową nowego życia. *U était pauvre et voulait vivre*, jak nas zapewnia Anatol France. Wsiadło na okręt dużo lokajów i sekretarzy, nieco aktorów i śpiewaków, wsiadł także razem z nim pan kawaler. Ponieważ miał pewne wątpliwości, czy taki skład ekspedycji wystarczy, aby stworzyć dzikim ludom złoty wiek szczęścia, wziął jeszcze ze sobą na wszelki wypadek - encyklo - pdję. Na okręcie snuły się plany tysiączne po głowie pana kawalera. Za najpilniejszą uznał konieczność zbudowania Świątyni szczęścia. Wzniesiona będzie z samych liści palmowych na użytek przyszłych wyznawców religii natury. Wszelako nim jeszcze przybito do brzegów wyspy, St. Pierre przekonał się, jak zeń sromotnie zakpiono. Pan Rulhiere zorganizował całą wyprawę nietyle dla cywilizowania dzikich ludów, ile dla - handlu niewolnikami. Oszukany marzyciel przyjął wobec tego posadę inżyniera na wyspie Ile de France (koniecznie przecież musiała być yspa!) i zabawił tam przez kilka lat. Mieszkał w pokoiku, którego jedynym umebloaniem był hamak i stół o trzech nogach, był nadal nieszczęśliwy i wierzył razem z Rousseau, że cnota i nieszczęście to są rzeczy nierozdzielne. Sadził w ogródku dziwne krzewy i kwiatuszki, próbował daremnie nauki biegania wraz z murzynami boso po gorącym piasku, natomiast nauczył się

patrzyć w głąb duszy własnej, w sedno tajemnic przyrody i znajdować tam nieprzebrane skarby radości życia.

Oludziach Europy nie zdołał jeszcze zapomnieć całkowicie. Bo oto co pisał w grudniu r. 1768 do starego przyjaciela, powiernika przeżyć warszawskich:

„Jakże nieskończoną radość sprawiłoby mi w tej chwili ujrzeć imperatorką północy w otoczeniu świetnego dworu, albo też przejść po owym dziedzińcu pałacowym, na którym spotyka się wszystkie ludy świata! A potem wróciłbym do domu przez Polskę, gdzie... Eh! Poco właściwie odnawiać dawny ból! Zostawm.y w spokoju Sarmatów i ich niewierne piękności!...

Cała moja miłość ściąga się obecnie do starego Plutarcha i małego pieska, którego zjadłyby pchły, gdyby nie moja opieka! Od trzech lat jest moim wiernym przyjacielem nazywa się Faworek i zasługuje zupełnie na to miano!" ... Po dwu latach dumań wyspiarskich wrócił St. Pierre do Francji i zaczął gwałtownie pisać. Sam d'Alembert własnoręcznie zanosił manuskrypty jego do księgarza, pani de Lespi - nasse ceniła go wysoko, ale mu dobrze nie było. Z dzikiej wyspy przywiózł bowiem obok gorączki malarycznej inną, gorszą chorobę - manję prześladowczą. Im bardziej rósł w sławę, tem dalej od ludzi uciekał ten najpiękniejszy ongiś z epuzerów oświecenia. Z całego serca wielbił melony, pchły, kamyczki i poziomki, i z całego serca nienawidził ludzi. A nieśmiertelność nosił już w zanadrzu. Sam nawet nie wiedział, jak się stało, bo oto nagle jeden mały fragment jego rozmyślań, jeden rozdział „Studjów nad przyrodą” rozkołysał całą Francją. Ten jeden, czwarty rozdział, w r. 1784 ogłoszony: *Paul et Virginie*, Niefortunny kolonizator Madagaskaru, mało szczęśliwy odnowiciel ludzkości zmienił życiową pozycję i wszedł odrazu w rząd pierwszych pisarzy kontynentu, stał się twórcą książki, zaczytanej przez tysiączne rzesze zapłakanych czytelniczek. Historia o Pawle i Wirginji, którzy się kochali na odludnej wyspie zdała od przesądów Europy, stała się najmodniejszą lekturą starego świata, widniała na gotowalniach pań wytwornych i w szynkownych izbach członków dyrektorjatu, czytał ją Napoleon na wyspie św. Heleny i wszystkie dzieci w szkołach europejskich XIX. stulecia.

Dwie rzeczy zamierzył Jaques Henri Bernardin de St. Pierre. Chciał się wywdziękzyć przyrodzie za to, że uleczyła jego wędniejącą z bólu duszę, i chciał zawołać głośno do ludzi: jesteście źli dlatego, bo zapomnieliście, jak pachną kwiaty, jesteście nudni i płacy, albowiem nie słuchacie, czego uczy szum morza. Jeszcze pragnął pochwalić się radością życia, która w nim rozkwitła pod zewłokiem bólu, a na każdej karcie powtarzał ziemi, słońcu ludzkiemu sercu, że je miłuje. Tak powstała opowieść przedziwna o cudach przyrody i myśli ludzkiej, o dobroci, schowanej w stokrótce w sercu człowieka. Arcynudna i razem prześliczna, przestarzała i codzien młodszą bajką otem, jako się Paweł i Wirginia na małej wysepce, położonej na drodze do Indyj, urodzili, pokochali i na wieki rozłączyli. Wzrosli ǳdala od przesądów Europy. Nieuczeni byli.

jak kreole, czytać i pisać nie umiejący. Ciekawość ich nie sięgała poza brzegi Palmowej Rzeki. Lecz całym staraniem ich było sprawiać sobie przyjemność i pomagać sobie wzajem. Noc nawet nie mogła ich rozdzielić, gdy schodziła oboje często ułożonych w jednej kołysce. Lecz miłowali się, siedząc pod krzakiem bananów, których liść szeroki i lśniący służył za nakrycie stołu...

Daleko, jak widzimy, uwiózł bohaterów swoich Bernardin de St. Pierre, a przecież w ślad za nimi pobiegły wspomnienia i pozostała na kartach zasklepiona blizna dawnego bólu. I oto wszystko swoje marzone szczęście z polską księżniczką podarował Pawłowi i Wirginji. Niechaj się niem radują do czasu. Iżbyś pokochał, Pawełku, Wirginję tak, jak ongi ja ks. miecznikową miłowałem, i żebyś mu, Wirginio, tem wszystkim życie ubarwiła, czego mojemu życiu dać nie raczyła *la Sarmatę in - fidele*! A wtedy zwało się na pamięć wspomnienie. Chwil dawno umarłych i rozkołysał książką dawny rytm szczęścia. Pan kaaler pisał tak, jakgdyby ten czwarty tom „Studjów nad przyrodą” był listem do niej:

„O kobieto, ty jesteś kwiatem życia. „I urodzonym sędzią wszystkiego, co przy - „stojne, „wdzięczne, dobre, sprawiedliwe, he - „roiczne.

„O kobieto! Pod słodkim dźwiękiem „twego głosu zuchwały sofista mięsza się, fa - „natyk czuje, że jest człowiekiem, ateusz, że „istnieje Bóg!”

Autor „Pawła i Wirginji” wyznał później, że książka jego jest owocem przeżyć młodocianych, które zawrzeć można w dwu słowach *Vambition et Famom*, P. Aimée - Martin, który nam już wiele odsłonił tajemnic, zapewnia, że tęsknota Bernardina ku księżniczce polskiej dała życie „Pawłowi i Wirginij”. Nawet i bez tych upewnień wiemy o tem sami. Otwórzmy gdziekolwiek egzemplarz książki pana kawalera. Np. w miejscu, gdzie powiedziano, iż owa Wirginia była wielce miłosierna: „Jednej „niedzieli, o brzasku, gdy matki udały się na „ranną mszę do kościoła w Pomarańczach, „zjawiła się pod bananami zbiegła murzynka. „Była wyschła jak szkielet, za całe odzienie „miała jedynie szmatę zgrzebnego płótna koło „bioder. Rzuciła się do stóp Wirginji i rze - „kła: Moja młoda panienko, ulituj się nad zbie - „głą niewolnicą. Uciekam przed moim panem, „bogatym mieszkańcem Czarnej Rzeki; obszedł „się ze mną tak, jak oto widzisz. To mówiąc „pokazała ciało, poorane głębokimi bliznami „od uderzeń J^ata”. Wówczas Wirginia udała się razem z nieszczęsną nad brzeg Czarnej Rzeki do władcy niewolników, który przechadzał się wśród plantacji z fajką w zębach trzcina w dłoni. „Wirginia zbliżyła się do „niego, prosząc przez miłość Boga, aby prze - „baczył niewolnicy. Kiedy pan niewolników zo - baczył smukłą kibić Wirginji i kiedy usłyszał „słodki dźwięk jej głosu, wyjął fajkę z ust i pod - „nosząc trzcinę ku niebu, zaklął się strasznym „przekleństwem, że przebacza niewolnicy” ...

Otóż do tego szlachetnego postępku namówiła Wirginię niechybnie - ks. miecznikowa. Była ona również bardzo miłosierną. Posłuchajmy tylko co o tem wiadomo p. Aimée - Martinowi:

„Pewnego poranku ujrział Bernardin de St. „Pierre nędzną poddaną, która maltretowana „srodze przez swego pana, uciekła pod opiekę „ks. miecznikowej i przybyła do jej włości. „W Polsce jest w tym wypadku zwyczaj wśród „panów, aby sobie wzajem zwracać zbiegłych ^niewolników, a następstwem takiej odsyłki „bywają srogie kary. Atoli księżna, wzruszona ^łzami włościanki, która zaufała jej miłosier - „dziu, odwiozła ją sama do jej pana, który „musiał jej przebaczyć”.

Teraz zobaczymy, jak to poszedł raz Paweł z Wirginią na przechadzkę w stronę

Góry Trzech Wymion i „po upływie jakiegoś czasu zeszli, sami nie wiedząc o tem, z udeptanej ścieżki i znaleźli się w labiryncie drzew, lija - nów i skał, nie posiadającym żadnego wyjścia Na tę jedną chwilę Góra Trzech Wymion stała się parkiem w Wiązownie.! nieraz jeszcze znajdziecie wśród egzotycznych pejzażów schowane uroki angielskich ogrodów w Polsce, nieraz dojrzymy w sentymencie Pawła konterfekt uczuć pana kawalera, a słowa, które Paweł mówi do Wirgini i słyszała wiele lat przedtem ks. miecznikowa z ust poety.'

Co się stało w końcu z Wirginią wiecie. Zginęła w falach oceanu, w chwili, gdy okręt przybijał do wyspy, gdzie miała znaleźć szczęście z ukochanym Pawłem. Marzona Wirginia zginęła, a prawdziwa? Księżna miecznikowa żyła sobie spokojnie i chyba dawno o panu kawalerze zapomniała. Upiększała dalej swój pałacyk przy ul. Pijarskiej, ale jeszcze skwapliwiej zajęła się ową pasją, której wszystkie damy wytworne hołdowały: ogrodnictwem i sielskim sportem. Polegała owa moda na urządzaniu angielskich ogrodów, sypaniu kurhanów, powstawały dzikie zarośla, tęskne ustronia czułe ruiny zamków, koniecznie z czasów Osjanowskich. Latem zasię mieszkało się w lichej chatynce z tarcic sklepionej, oraz tańczyło na murawie w stroju ludowym szkockim albo prowansalskim. Liche chatynki wysłane są wewnątrz kobiercami, obwieszane pikturami pierwszych mistrzów, otwierają się kluczem złotym z diamentami, a jedna kostka z saskiej porcelany w łazience kosztuje „dusiów” złotych dziesięć. Ks. generałowa ziem podolskich urządziła sobie taką przyjemność w Powązkach, pani Nieborowska w Arkadji, a ks. miecznikowa w Wiązownie. Tam właśnie, gdzie ongi z panem kawalerem uciekali przed burzą. J. U. Niemcewicz zaświadcza, że chatynka letnia w Wiązownie była bardzo przyjemna.

Z czasem do pasji ogrodnictwa dołączyła ks. miecznikowa drugą, mniej wytworną: pie - niactwo. Wypełniła sobie życie mnóstwem za - wikłanych spraw majątkowych, procesowała się na lewo i prawo, a echo tych procesów obijało się coraz o kancelarję dobrotliwego króla. Zasypuje go listami, że wreszcie tem zniecierpliwiony. Wtedy dla udobruchania posyła mu znowu jakiś kopersztych szczególny, albo obraz dla galerji nastęrczy. Nawet w wiedeńskim trybunale spotkać

się można z ks. miecznikową; po aneksji Galicji zgłosiła była do dóbr po hetmanie Branickim, jako jedna z jego spadkobierczyń.

Mało słyhać pozatem o ks. miecznikowej. Nawet dojść nie sposób, jako się wabił jej piesek ukochany. Honny soit qui mal y pense! Piesek ukochany był jednym z najważniejszych sprzętów w gospodarstwie damy wytwornej. Miała pani Grabowska „Bufcia”, ks. wirtem - berska „Kozia”, król Jegomość „Kiopka”, pani Tarnowska „Dobrusię”, ks. generałowa „Gał - ganka”. Jak się natomiast wabił piesek ks. miecznikowej i wogóle czy był pieskiem, czy może raczej suczką, o tem niestety milczą dzieje.

A skoro ukoją się do reszty stare ansy zelozie, spotkamy Barszczankę dawną w owym wieńcu pań szumiących, które składały dwór warszawski króla Jegomości. Było to już co - prawda w przeddzień Sejmu Wielkiego, w obliczu chwili, w której pojedną się z królem najtwardsi przeciwnicy.

Przyjęto ją z otwartemi rękoma, bo wiedzą, że mądra, obyta i niebezpieczna. Zawrze teraz ks. miecznikowa przyjaźń zażyłą z obiema siostrami króla, potrafi wyjść na swoje nawet z ospowatą i krzykliwą panią Grabowską. Naj - słodsza, mimo pięćdziesiątki, w kollokwiach towarzyskich, spędzi samotnica niejedno rojne soirée w owem gronie, gdzie ks. Pepi kozaka wycina z panną Kossowską, a chytry prymas wista grywa z ambasadorami. A gdy w teatrum amatorskiem role rozdadzą, przypomni sobie dama leciwa, jak to się z panem kawalerem Racine'a grywało w pośród najśłodszych okoliczności, pod zielonym młodych lat baldachimem. Odmienił się świat i król, ludzie i serca. tylko Racine pozostał ten sam.

„Jedliśmy - pisze dama z tego towarzy - „stwa, pani Mniszchowa do swej matki, w sty - „czniu roku 1787 - wczoraj kolację u pani „de Nassau, król był, hetmanowa polna i ks. „Radziwiłłowa, deklamowano „Fredrę” Racine'a.

Pod ten czas jakoś wielki pisarz Jaques Henri Bernardin de St. Pierre upodobał sobie w Paryżu jakąś panią Germany. Była to dama szczególnej aparycji. Miała głowę anioła, język i ogon węża, oraz nielada garb w dodatku. Szpetnej babinie urągali ludziska, pan kawaler wszelako przepadał za towarzystwem miss Germany,

jak za niczyjem we Francji. A to dlatego, że była z rysów podobna do

księżny miecznikowej. Il continua toujours voir madame Germany par une extreme ressemblance avec la princesse, quil avait aimé en Pologne,

Choć ożenił się był już i to dwa razy z konwenansu raz, a raz z miłości, choć rzuciwszy samotność, sięgnął szczytów swojej glorii, szukał przecie towarzystwa garbatej miss Germany, z racji jej dziwnego podobieństwa do księżniczki, którą kochał w Polsce.

Żył tak jak Paweł, który „do końca życia nie przestawał powtarzać imienia Wirginji”, ale nie umarł tak jak Paweł, ginący dlatego „bo nieszczęścia pierwszej młodości nie przygotowały go do wejścia w życie”. Pan kawaler był dobrze przygotowany. Przyjaźnił się z Russem, potem z Bonapartem i pisał coraz nowe, choć nie coraz piękniejsze księgi. A kiedy obaj chodzili z Janem Jakóbem samowtór za miasto i kwiatków rzadkich szukali po łąkach, - wtedy w pałacyku przy ulicy Pijarskiej w Warszawie, dwór królewski bywał na zabawach u ks. miecznikowej. „W przeszłą sobotę - czy - „tamy znowu w liście pani Mniszchowej - „jedliśmy kolację u ks. miecznikowej. Jutro „wyjeżdża do Głogowa mimowoli i ochoty, „interesa zmuszają ją do tego. Wczoraj był

Romans Prababki. A „obiad u ks. prymasa”. U tego mniej jest swojsko, bo bywają Moskwiciny. W pryncypiach politycznych nieugięta została, więc jeśli stanąć przyjdzie do poloneza w jednej parze z ruskim ambasadorem, ks. miecznikowa czyni to, ale... z indygnacją.

Nie zagasły w niej jeszcze dawne ognie Barszczanki i płoną, chociaż czas niedobry coraz niegrzeczniej koafiurę srebrzy. Po latach jeszcze będą o tem wieści. Gdy darmobys już pytał o sędziwą Wirginię w Warszawie, - bo któż się samotną, starą białogłową zatroska? - wtedy znak o niej przyjdzie z grona ludzi najdostojniejszych. Bo oto kiedy pan naczelnik Kościuszko podniesie o apel o wspomaganie Insurekcji czem kto może, wówczas w listach składkowych, - w których daremnie imion z dworu króla Stasia szukasz - wyłoni się to nazwisko, dawno zapomniane, kosynierom obce: „Na cele powstania złożyła ks. miecznikowa

armat lanych dwanaście oraz dukatów złotych trzy tysiące”.

Taką prostą i piękną jest ostatnia wiadomość o „niewiernej Sarmatce”, którą za „piękną duszę” wielbił Wybicki i którą miłował St. Pierre. Czy się jeszcze kiedy w życiu swo - jem zobaczyli? Nie wiemy. Czy sobie srebrna

pani zakupiła u Imci Grella na Marywillu egzemplarz książki pana kawalera i w piękny safian oprawiwszy, łzami oblała najmiłszy suwenirek lat młodych? Również nie wiedzieć. Historia rozumie czasem doskonale urok niedomówień umie strzedz tajemnic serca.

W r. 1794 pan kawaler przeniósł się z Paryża na jeszcze jedną już czwartą z kolei wyspę odludną, a księżna miecznikowa, siódmego krzyżyka nie doczekawszy, rozstała się z życiem w Głogowie. A w owym czasie wszystkie sawantki Europy łzami rzewnymi oblewały historję Pawła i Wirginji, którzy, „zdała od okrutnych przesądów Europy”, kochali się miłością czystą na odludnej wyspie.

IX.

LEGENDY O polskiej miłości twórcy „Pawła i Wirginji” krążyły z dawna w literaturze. Sam poeta wspominał kilkakrotnie w swych dziełach o polskiej księżniczce (n. p. „Oeuvres posthumes, Paris, 1832, str. 527), ale historję romansu odsłonił dopiero przyjaciel i wyznawca mistrza L. AiméeMartin, autor pierwszej biografji St. Pierre’a, wysnutej z listów i żywej tradycji. AiméeMartina nazwano słusznie hagiografem St. Pierre’a, albowiem pisał o swym mistrzu w sposób panegiryczny i pominął, a co gorsza, spalił wszystko, coby mogło przeszkodzić jego kanonizacji. Ofiarą całopalenia padły także, jak sam wyznaje, *plusiers billets de la princesse M...j* a cała jej osóbka skryła się pod woalką tajemnicy. Tyle jeno zdradził biograf, że była ona *une parente de Radziwillj* a rzecz cała działa się za czasów konfederacji barskiej. Późniejsi francuscy biografowie St. Pierre’a odkryli prawdziwe jakoby nazwisko bogdanki, orzekłszy, że pochodziła ze znakomitej rodziny polskiej i zwała się *Marie Miesnik* (/). Opowieść nie przestawała być fantastyczną. Dopiero znakomity krytyk SainteBeuve doszedł, że opowiadanie AiméeMartina nie było zmyśleniem. Ogłosił on w VI. tomie swoich *Causeries du Lundi* 13 listów Bernardina

do jubileera Duvala w Petersburgu, w których sam poeta z młodzieńczą szczerością opowiada sprawę przyjacielowi, ale zataja imię najdroższej. Od tego czasu liczni biografowie St. Pierre'a (Maury, Aulard i in.) pisali nie bez odrazy, *avec une vertueuse indignation*, mając za złe marzycielowi, że w tak barbarzyńskim zakątku świata, jakim jest Polska ulokował swoje sentymenty. St. Pierre nasłuchiwał się od swych krytyków równie cierpkich wymówek, jak Balzac z racji małżeństwa z p. Hańską. Ostatnio dotknął sprawy najświetniejszego pisarza Francji współczesnej, Anatol France w swej książce pt. *Le génie latin* (Paris, 1913). Z politowaniem pokiwał głową nad tym brzydkim ustępem biografji St. Pierre'a, szydząc z panny Miesnik i jej kuzyna Radziwiłła, „dzikiego olbrzyma, który nosił skórę niedźwiedzią na ramionach”.

W naszej literaturze wspomniał pierwszy o romansie St. Pierre'a prof. Askenazy w swem dziele: „Napoleon a Polska” (t. I. str. 157) i starał się nawiasowo dojść, kim była owa tajemnicza *princesse Miesnik*. Oparwszy się na wyrażeniu: *une parente de Radziwiłł*, przedstawił dwie przypuszczalne kandydatki: Marję, córkę Alberta Radziwiłła, albo też siostrę ks. Karola, awanturniczą Teofilę Morawską. Wszelako wystarczy wziąć do rąk chociażby listy obu tych pań mało oświeconych, aby spostrzedz odrazu, że żadna z nich nie mogła zaimponować kulturą i sztuką pisarską autorowi „Pawła i Wirginji”.

Tajemniczą *princesse Miesnik* mogła być tylko Marja z Lubomirskich Radziwiłłowa, miecznikowa w. lit.

nazywana powszechnie, nawet w Paryżu, „księżną miecznikową”. Postaci tej nie znano dotąd prawie zupełnie i trzeba było długo szperać w dokumentach, aby zebrać choć drobną garść wiadomości. Wzmianki o niej są równie nieliczne, jak lakoniczne. Odszukaliśmy kilka listów niezbyt ciekawej treści. (Jeden do biskupa Krasieńskiego, drukowany w „Źródłach do panowania St. Augusta”, H. Szmitta, gdzie ją mylnie nazwano miecznikową koronną Franciszkową Lubomirską), inne do króla i wojewody Mniszcha w rękopisach Muzeum XX. Czartoryskich nr. (684, 686, i 3859.) wreszcie Zakładu Ossolińskich (nr. 784).

Drobne wzmianki o ks. miecznikowej mieszczą się w herbarzach (Boniecki,

Niesiecki, Zychiński, Borkowski: *Damy polskie przy dworze rakuskim*) w pamiętnikach Wybickiego, Matuszewicza, Niemcewicza, Falkowskiego, Karpińskiego, T. Sapieżyny, dalej w „Szkicach i poszukiwaniach” K. Pułaskiego (gdzie również mylnie nazwana), na koniec szczegóły obszerniejsze w pracy prof. Wł. Konopczyńskiego: „Polska w dobie wojny siedmioletniej” (Warszawa 1911).

W opowiadaniu trzymaliśmy się ściśle dokumentów i może dlatego nabrało ono miejscami dość szablonowej fabuły romansowej.

DAMA Z KARZEŁKIEM.

Co SIĘ najbardziej podobało jedenastoletniej infantce hiszpańskiej w dniu jej urodzin i dlaczego rzuciła na turnieju różę białą brzydkiemu karłowi, o tem wszyscy wiecie, bo któżby nie znał jednej z najmiłszych nowel Oskara Wilde’a „Urodziny infantki?” Dwa dni przed uroczystością odnaleźli karzełka grandowie, polujący w lesie dziewiczym. Znał wszystkie ptaki osobiście, umiał przywabiać szpaka ze szczytu drzewa i czapłę z nad brzegu morza, a odtńczywszy swój pokracyjny taniec, którego się od wiatru nauczył, pewny był, że go infantka już kocha. Nie rzuciłaby mu inaczej białej róży z balkonu. Pamiętajcie, co mu powiedziały lilje w ogrodzie: „Napij się soku makowego i zaśnij na tysiąc lat!” Nawet fiołki nie mogły nie przyznać, że jest strasznie brzydki. A kiedy wreszcie dowiedział się, jaki naprawdę jest.

gdy ujrzał w lustrze swój garb, krzywe nogi i grzywę czarnych włosów, wtedy zdarł w strzępy białą różę i serce mu pękło.

Karzełek pani Humieckiej, o którym tu będzie mowa, nie miał ani w części tyłu zmartwień, co jego imiennik z „Urodzin Infantki”. Szedł przez życie, jakgdyby na przekór noweli Oskara Wilde’a! Nie znał wszystkich ptaków osobiście, nie umiał akompaniować wiatrowi do tańca, a także serce mu wcale z bólu nie pękło, choć czasami trochę bolało. Przeciwnie!

- m

Zył bardzo długo, lat 98 bez dwóch miesięcy, był bardzo przystojny, grzeczny i dobrze wychowany, przytem zwiedził wszystkie dwory Europy i jeśli nie infantka,

to w każdym razie niejedna guwernantka niejednej infantki ofiarowała mu serce, pasjami ciekawa uścisku 60- centymetrowego adonisa.

Karzełek pani Humieckiej znalazł się na wielkim świecie przypadkiem. Byłby do końca życia nosa nie wychylił poza okolice Halicza, gdzie się na wsi urodził, byłby sobie mieszkał na facjacie zamku pani Tarnowskiej, gdyby jej ktoś - słusznie zresztą - nie zwrócił uwagi, że w pewnych sytuacjach życiowych nie należy kobiecie wpatrywać się w istoty upośledzone, a raczej trzeba przeciwnie: spoglądać usilnie na Apollina Belwederskiego. Zaczem przestraszona pani Tarnowska, w obawie o wzrost przyszłych delfinów, darowała swego karzełka pani miecznikowej Humieckiej, która co prędzej pospieszyła się pochwalić nim na szerokim świecie. I tak się stało, że ten najmniejszy człowiek w Polsce XVIII. wieku, Józef Borusławski z Halicza, znalazł się wkrótce na kolanach cesarzowej Marji Teresy i na dworze Stanisława Augusta, ujrzał przeróżne senatory, principessy i ministery. A wszyscy patrząc nań ze zdziwieniem skonstatowali, że w przeciwieństwie do innych karłów nie ma żadnych usterek fizycznych, posiada nadto, o dziwo, duszę nieśmiertelną, dużo ogłady towarzyskiej i nieco kultury umysłowej i jest wogóle *comme ils sont ces petits monstres, que Von regarde avec raison comme les ouvrages prodigieux*.

Hodowla karłów była od wieków ulubioną zabawką wszelakiego highlife'u. Karzeł był nieodzownym, przepisami etykiety objętym, sprzętem na dworach panujących. Im większy mocarz zasiadał na tronie, tem mniejszego musiał mieć u stóp tronu karła. A cóż dopiero powiedzieć o wieku 18-tym, który kochał się w miniaturach i człowieka przemienił w świecidełko, cóż rzec o czasach rokoka, gdy za - m raj ąca stara ludzkość podniecała się ukochaniem dziwactw i nadzwyczajności?

Łatwo sobie wyobrazić z jaką uciechą brała pani Humiecka do karet kilkunastoletniego potworka, jak promieniała z niezwykłej rozkoszy! Jeśli nie urośnie to będzie trzecim najmniejszym człowiekiem na świecie, trzecim, po Tomciu Pouce, który mierzył 57 cm. i po Adrjanku Esmilaire, który miał w 60-tym roku życia tyle lat, ile centymetrów długości. Pani Humiecka przymierzała karła po raz dziesiąty: Miał dwie stopy i cztery cale. Nieokrzesany bęben wył w karecie w

niebogłoty. Ubiorę go we frak z szamerunkami i nauczę tańczyć menueta. Będzie nosił listy miłosne, będzie się cieszył szumem kaskady i czerwonym piaskiem na ścieżkach angielskiego ogrodu. Cóż znaczy wobec niego papuga, choćby po francusku gadająca, coż warta nawet mysz oswojona na łańcuszku? Żeby tylko nie wyrósł, tak jak karzeł Ogińskich. Pani Humiecka, kuzynka króla Sobieskiego patrzyła z przerażeniem, czy siedzące obok maleństwo nie rośnie!...

Teraz dopiero pojęła w pełni uciechę Barbary Radziwiłłówny, kiedy jej królewski małżonek przywiózł z borów litewskich karła, Okulą zwanego, teraz lepiej rozumiała pasję kardynała

Vitellio, co był przedmiotem zazdrości całego świata, gdy zdołał na swym dworze zgromadzić trzydzieści czworo karzełków obojej płci. No, a przedewszystkiem czeka rozwiązania nieśmiertelny problem Katarzyny de Medicis. Nie miała biedaczka szczęścia w sztuce *de fabriquer des nains* pomimo, że ofiarnie gromadziła u siebie bez liku *des individus de toute petite taille*. Czego nie osiągnęła Katarzyna Medycejska, to uda się Annie Humieckiej, kuzynce króla Sobieskiego. Biedny karzełek patrzył przerażo - nemi oczyma na wielkie pudło karety, w którym go zamknięto, pani Humiecka radowała się dalej. Masz siostrę, chłopczyku? Mówił, całkiem po ludzku mówił, że ma. Taką samą, jak ty? Taką samą. Malutką? Malutką. Jest na dworze pani Kossakowskiej we Lwowie. A więc będzie para. Pani Humiecka widziała już oczyma wyobraźni wspaniały rozwój wylegarni karłów, urządzonej w swym pałacu. I rozwiązanie nieśmiertelnego problemu. I nieprzebrane góry złota. O jakże mi cię żal, Katarzyno Medycejska! I tylko jedno zmartwienie spokoju nie dawało pani Humieckiej. Podobno madame Bra - nicka w Białym Stoku przywiozła skądś karzełka i to zaledwie na łokieć wysokiego. Nie dość na tem: ponadto dwie karliczki suczki i trzy karliczki kotki!! Zgroza. Pocichę niejaką stanowił fakt, że Zużu jest i mniejszy i zgrabniejszy nawet od owego Jakóbka, co go Sanguszkowie aż z Hiszpanji do Sławuty przywieźli i ciągle po rękach noszą. Szczęsny Potocki ma wprawdzie w Tulczynie parę karłat, wylepił im pałac kunsztowny z papieru, ale i nie warto o nich mówić. Niekształtne i rosną z dniem

każdym.

Zuzu Borusławski był ze wszystkich najmniejszy i najmądrzejszy i nie rósł wcale. Ma dwie stopy i cztery cale. W Warszawie spostrzeżono nie bez zdziwienia, że krasnoludek jest wcale oświecony. W Haliczu u p. Tarnowskiej śnać czasu nie tracił: umie czytać i pisać, zna konwersację francuską i dworską *poli - lesse*. Uzupełniwszy tu i ówdzie edukację stworzonka, kazała pani Humiecka urządzić w swej karocy podróżnej misterne mieszkanie dla Bo - rusławskiego i ruszyła w świat. To się z pewnością opłaci. Salonów rokokowych jest dużo, ale karzełków zsyła Pan Bóg na ziemię mało. Z dóbi swych na Podolu zawiozła go najpierw do Chocimia iżby go pokazać baszy tureckiemu. Basza wprowadził karzełka do swego haremu, gdzie odaliski nie szczędziły mu pieśczoć. Zuzu miał już wówczas lat ośmnaście, ale „nie odczuwał, jak sam wyznaje, różnicy płci, uścisk ramion kobiecyci nie czynił na nim wrażenia”. A potem pojechał z jaśnie panią w świat szeroki. Ujrzał olbrzymia, w którego dłoni zmieścić się mogło dwanaścioro takiego drobiazgu, jak on, zobaczył dużo, bardzo dużo zielonej wody, którą ludzie nazywają morzem. I dobrze mu było.

II.

MAŁEMU człowiekowi z Halicza przyglądano się wszędzie z ciekawością. Uczone przy - rodniki z Buffonem na czele zawyrokowały, że Borusławski jest unikatem, takiego liliputa dotąd na świecie nie widziano. Bo nietylko najmniejszy ze wszystkich, ale zgoła oświecony! Wszystko w jego organizmie jest zdrowe i kompletne, jeno w proporcjach tak małych, że aż cudacznym”. Mądry, jak labuś warszawski, grzeczny, jak markiz z Wersalu, zachowuje się Zuzu wcale nienagannie w towarzystwie, nawet tańczy i czyta Woltera.

Pani miecznikowa Humiecka, do której miano *dame au nain* przylgnęło, wiedziała dobrze, czemu się z Borusławskim po świecie obwozi, a wszelakie inne plantatorki karłów w Polsce zieleniały z zazdrości. Zuzu był amuletem, otwierał jej wszędzie drogę na ścieżaj.



KARZEŁEK BORUSŁAWSKI.

(Szytych angielski na karcie tytułowej pamiętników).

Bywała dzięki niemu na dworach europejskich i w towarzystwach, o których się jej przedtem ani śniło. Zużu brał szturmem so - cietę Europy. Siedział na kolanach u Marji Teresy - ta przyglądała mu się z takim samem zaciekawieniem, jak kiedy indziej słuchała muzyki kotów, którym gwoździe w ogony wbijano - chodził na polowanie z córkami elektora saskiego w Monachium, obfitował w łaski carowej matki, grał wolanta ze stadhuderem Holandji. Rok bawił w Paryżu i w Hadze. Sztuki tańczenia uczył karzełka sam pan An - gelini, baletmistrz dworu wiedeńskiego. Na dworze wersalskim przynoszono go do kolacji w srebrnej wazie, w Wiedniu zaś dziewięcioletnia dziewczynka, z której potem wyrosła królowa Marja Antonina, ofiarowała mu, westchnąwszy głęboko, brylantowy pierścionek; od króla saskiego otrzymał złote pudełeczko w upominku. Sama nawet madame Geoffrin, - która tylko wysoce oświecone sprawy poruszać zwykła w swych listach uczonych do króla polskiego Stanisława Augusta - przyznała się wprost i otwarcie: „To pewne, że gdybym go miała, posiadałabym skarb najdroższy!”

W dudziestym piątym roku życia liczył sobie Borusławski 3 stopy i 3 cale wysokości

Romans Prababki.⁷ i myślał z dumą, że jest najmniejszym w Europie

człowiekiem, co omal go o śmierć gwałtowną nie przyprawiło. Smutna to rzecz dla młynarza, kiedy spotka kominiarza”, ale jeszcze boleśniejsem jest - zdaniem Borusławskiego, - gdy karzeł obaczy drugiego karła. A stało się tak właśnie, gdy pani Humiecka zawadziła o tusculum króla - filozofa i przybyła na dwór Leszczyńskiego do Lunevillu. I tu Zużu zobaczył Bébé, karzełka króla Stanisława. Było to stworzenie bardzo tępe i złośliwe, ale miało za sobą bardzo poetyczną biografię. Bébé urodził się w Wogezach i ważył, przyszedłszy na świat, niespełna funt. Chodak góralski, wełną wyścielony, służył mu za kołyskę, do chrztu zaś zaniecono go w filizance. Karmiła go koza, buciki nosił wielkości włoskiego orzecha. Obrus służył mu za miejsce spaceru, a gdy raz zabłąkał się w trawie na łące, wołał odtąd siadywać na krawędzi krzesła. Na dworze w Lunevillu bajka się skończyła. Bébé zaczął nagle rósć. Ponoś go bardzo lubiły damy dworu, był bowiem jakoś dziwnie zbudowany i, jak mówiono, sprawiał wiele szczególnych przyjemności, którychby daremnie szukać u innych normalnych reprezentantów płci brzydkiej. „Jego dojrzałość - tak pisano w Encyklopedji francuskiej - jest nad podziw rozwinięta w stosunku do rozmiarów ciała”. Damy dworu króla Stanisława sprawiły, że Bébé szybko dzieciinniał i umarł z wycieńczenia w 30 roku życia. Zresztą człowieczej inteligencji w nim nie było. Umiał tylko tańczyć i złościć się. Taką właśnie złością zapalał, obaczywszy, że Zużu Borusławski jest od niego dużo mniejszy, zna tajemnice abecadła i obcych języków, a co gorsza, pozyskał odrazu względy króla - filozofa. Więc niewiele myśląc porwał Bébé Borusławskiego w pól i chciał rzucić w ogień trzaskający na kominku. Dopiero krzyk rozpaczny sprowadził dobrego króla.

- Niegrzeczny jesteś Bébé - rzekł król - dlaczego chciałeś spalić Zużu?

- Bo jest mniejszy odemnie - odparło rozdąsane zwierzątko.

Po tej niebezpiecznej przygodzie powrócił Zużu z panią Humiecką do Warszawy. Był to rok 1780, a jeden z najświetniejszych karnawałów stanisławowskich. Aureola tryumfów europejskich otworzyła Borusławskiemu wstęp na dwór. U ks. marszałkowej zebrała się właśnie *societa* w wigilję Trzech króli. Przy zabawie w króla migdałowego spisał się Zużu tak dowcipnie, iż zachwycony

Stanisław August chciał

7* go zaraz obdarować starostwem, na szczęście pani Humiecka wczas wytłumaczyła Najjaśniejszemu, że ona sama weźmie donatywę równie chętnie.

Tymczasem w naturze karzełka dokonały się dziwne przemiany. „Dotąd - opowiada w swych pamiętnikach - nie zważałem wcale na różnicę płci. Teraz dopiero kobiety przybrały w mych oczach kształt inny”. Przybrały inny kształt, ale traktowały go dalej, jak sprzę - cik. „Daremnie oburzałem się, że najbardziej szanowne damy biorą mnie na kolana, całują i pieszczą. Jakże śmiesznie wyglądałoby, gdybym nawet zdobył się na jakieś oświadczyzny miłosne!” Cudowna bajka zaczęła się wikłać. Liliputowi wydało się, że już sprosta dużym ludziom i w 30 wiośnie zakochał się, rozpo - cząwszy drugą, mniej groteskową, połowę życia, które miało mu jeszcze różne dziwy ukazać. Winne były wszystkimu niegodziwe aktorki teatrów króla Stasia. One to pierwsze zdołały wreszcie karzełka uświadomić i, nie bez trudu, pouczyć do jakich celów przeznaczył Pan Bóg kobietę. Za kulisami nabawił się też karzełek pierwszych sentymentó miłosnych, a wziął się do rzeczy straszliwie ser jo. Ona była panną respektową i nazywała się Izalinka Barbontan.

Jak stało się, niechaj sam opowie: „Pokochałem ją i zdawało mi się, że i ona mnie kocha. Byłem szczęśliwy. (Brawo, karzełku!) Ale jakże bolesnem stało się zdziwienie moje, gdy spotykam raz tego właśnie młodzieńca, który mnie zapoznał z Izaliną. Wyznaje mi, że to wszystko jest ułożoną z góry zabawą, o której wie całe towarzystwo warszawskie. Mówiono o tem głośno, wyśmiewano moje skryte uczucia, a nawet ona, Izalina, przechwalała się, że potrafiła w tak małym człowieczku rozbudzić tak wielką miłość. Wiadomość ta przybiła mnie i poniżyła miłość własną; kochałem szczerze, zdawało mi się, że jestem kochany, a teraz straciłem złudzenia i łuska spadła mi z oczu”.

Ale krasnoludek nie dał za wygranę i jął walczyć o donnę w sążnistych listach miłosnych. Takich samych, do znudzenia takich samych, jak je pisze każdy inny, normalnie urodzony człowiek. Opowiedzą nam owe o dramatycznych następstwach uczucia i o nie dobrem sercu pani Humieckiej, która zakochanemu zwierzątku kazała

iść precz.

Pisał tedy karzełek do swej najmilszej:

„Najmilsza! Nareszcie niewola moja skoń - „czona. Dla twej miłości ofiarowałem i straci - „łem wszystko! Gdyby nie Ty nie wahałbym „się nawet skończyć z życiem. Dziś rano jeden „z panów oficerów, mieszkających u mojej opie - „kunki, przyszedł do mnie z oświadczeniem, że „jeśli nie zmienię swego postanowienia, mam „się natychmiast zabierać precz! To niemożliwe! „zawołałem w pierwszej chwili, ale po rozwa - „dze odrzekłem, że jestem zdecydowany, pro - „szę tylko, aby oświadczył odemnie mojej do - „brodziejce, że jej niełaska szczerze mnie za - „smuca, niech mi wszystko wybaczy, a jej do - „broci dla mnie nigdy nie zapomnę. (Karzełku, „znasz się na dobrych formach!) Ze łzami „w oczach opuściłem dom, w którym tak długo „byłem ukochanem, rozpieszczonym dzieckiem. „Stałem się niewdzięcznikiem dlatego, że ko - „cham Ciebie, Izalinko!

„Położenie moje było okropne. Nie wie - „działem gdzie iść, bez pieniędzy, bez dachu „nad głową, bez możności życia. Tylko miłość „ku Tobie podtrzymywała mnie i ona to natchnęła „mnie, abym się zwrócił do ks. Kazimierza, „brata królewskiego. Wiesz o tem, że jest „uprzejmy i łaskawy, a mną zawsze się intere - „sował. I nie zawiodłem się. Ks. podkomorzy „wiedział już o wszystkim i raczył tylko wy - „razić zdziwienie, że zdecydowałem się na „opuszczenie pani Humieckiej. - „Zuzu, bądź „spokojnym i pewnym mej opieki. Opowiem „o Tobie królowi, bo wiem, że cię lubi i nie „odmówi swej protekcji”. Te słowa łaskawe „dodały mi otuchy. O tak, Izalinko, będziemy „szczęśliwi, jeżeli tylko tego zechcesz. Chciał - „bym bardzo zobaczyć Cię, by Ci powtórzyć „po tysiąc razy, do ostatniego tchnienia, że „jesteś jedynym ukochaniem Twego wiernego „i czułego Zuzu”.

Izalinka zanosila się od śmiechu, a w kilka dni później otrzymała list drugi:

„Najmilsza! Dziś rano przysłał po mnie ks. „podkomorzy z zapytaniem, czy chcę powrócić „do pani Humieckiej, bo w takim razie użyje „pośrednictwa swych przyjaciół u niej, czy też „jestem nadal zdecydowany poślubić Ciebie, „najdroższa Izalinko! Odpowiedziałem, że jak - „kolwiek gnębi mię bardzo przeświadczenie, że

„stałem się niewdzięcznikiem, to przecież po - „wrócić nie mogę... - „Postaraj się zatem „o przyzwolenie matki Izaliny - odrzekł książę - „a wszystko będzie dobrze!”
Widzisz więc naj - „milsza: ludzie myślą, że ty się zgadzasz. Nie „ośmieliłem się nawet wyjawić, że dotąd nie „uzyskałem twej zgody, zepsułbym bowiem całą „sprawę. Czy mi jej odmówisz, jedyna?! Czy „miałabyś serce unieszczęśliwić człowieka (o, o!) który chce widzieć Ciebie szczęśliwą? Mam „być na posłuchaniu u króla, który obiecał ks. podkomorzemu, że zajmie się mym losem. Niech Cię uspokoi nadzieja, że mi prawdopodobnie wyznaczą pensję roczną! Łaski, naj - „milsza! Daj mi choć promyk nadziei, a po - „spieszę upaść do nóg Twej Pani matce. Czyż „będzie mogła odrzucić mą prośbę zwłaszcza „gdy się dowie, jak wysokich mam protekto - „rów? Niech Izalinka pamięta, że brak decy - „zji i spóźniona odpowiedź mogą zniweczyć „wszystkie nadzieje i unieszczęśliwić na zawsze „Jej wiernego i czułego
Zuzu.

Napięcie dramatyczne dosięgło teraz szczytów. Karzełek jest bez dachu, pani Humiecka bez karzełka, Izalinka ma dać odpowiedź: tak albo nie. Ale nim to się stanie, wystąpią nowe, nieoczekiwane osoby dramatu.

PANI Humiecka, kuzynka króla Sobieskiego, niepokieszona była po stracie swego liliputa. *La dame au nain* miałażby stracić swój pierwszy i prawie jedyny tytuł do sławy, do wziętości w wielkim świecie?! Na domiar złego siostra karzełka, przebywająca na dworze p. Kossakowskiej we Lwowie, co do której była choć mała nadzieja, że uda się ją ydobyć z rąk starej sekutnicy umarła tym czasie. Zakochała się w pewnym oficerze, który nauczył ją grać pikietę, ale nie odwzajemnił jej uczuć. Zakochała się, dostała ospy i umarła. Pani Humiecka uparła się: Zuzu musi koniecznie wrócić! Deska ratunku nasunęła się nagle, prawie cudownie: Cagliostro! Tak, po - szle do upartej istotki tego cudownego człowieka, który od niedawna wprowadził Warszawę w stan ekstazy, uprosi o pomoc Wielkiego

Koftę, który żyje tysiąc lat, leczy piegi i plamy wątrobiane, pamięta korab Noego i Kleopatę, jest osobistym przyjacielem Mojżesza i Aleksandra Wielkiego. Jeśli Wielki Kofta nie zdoła przekonać karzełka, a czegoż Wielki Kofta nie uczyni dla

pani Humieckiej, wtedy trzeba będzie dać za wygraną. Zuzu pójdzie na zieloną trawkę. Zuzu jest uparty, pani Humiecka także.

Pan Cagliostro, zdołał się już doszczętnie skompromitować w Warszawie, ziemia paliła mu się pod stopami, skwapliwie więc pospieszył poprawić reputację swych nadprzyrodzonych kunsztów. Zaprzestał na chwilę leczenia plam wątrobianych na policzku pani Humieckiej i zajął się karzełkiem. Czynił nad nim tajemne poruszenia rąk, zakreślał przeróżne cyrkuły w powietrzu, mruczał „egipckie” zaklęcia, aby mu tylko wybić z głowy marjaż, krzyżujący żywotne interesy pani Humieckiej. Ale napró - żno! Mały uparciuch śmiał się do rozpuku z cudacznych skoków Wielkiego Kofty. Ani mu w głowie było poświęcać się dla medycej - skich ambicji swej pani. Postanowił zostać człowiekiem i koniec! Z dumą wspomina w swych pamiętnikach, że dał Cagliostrze odpowiedź odmowną, albowiem coraz mocniej kochał Iza - linkę. Brat królewski dotrzymał obietnicy. Jaśnie oświecony darmozjad hodowca małą i ananasów ujął sprawę w swe ręce. Za jego wstawieniem się wpisany został Zuzu na listę pen - sjonarzy dworu królewskiego, z której tak wielu próżniaków czerpało. Pobierał odtąd pensję roczną w kwocie 120 dukatów za to, że był karzełkiem i podobał się Najjaśniejszemu. Iza - linka nagle zmiękła. Sto dwadzieścia dukatów rocznie... Trochę na serjo, a więcej na żarty zgodziła się na oddanie ręki człowiekowi, którego właściwie nosić należało na rękach. *Maman* nie ociągała się z błogosławieństwem. Protekcja królewska jest zbyt wiele warta, aby nie spróbować śmiesznej awanturki, która chyba długo nie potrwa. Teraz atoli wyłoniły się inne, poważne trudności. Nuncjusz papieski założył w imieniu Watykanu uroczyste *veto* przeciw marjażowi. Orzekł, że kościół katolicki musi stać na straży świętości sakramentu małżeństwa, i dość już ludzie zniesławiają tę szanowną instytucję, aby ją jeszcze poniżyć miały karły. *En - fin* zawyrokował monsignore, że istota, licząca 3 stopy wysokości nie jest ani zdolna, ani godna poślubienia niewiasty. Zuzu gryzł do krwi małe piąstki i był bliskim szaleństwa. Czemuż nie ma temperamentu Hudsona Jeffery, swego karlego pradziadka, który wystrzałem z pistoletu zabił szlachcica na dworze Karola I.? Zanosilo się na groźny

zatarg między dworem warszawskim a kurją rzymską. Wielki świat Warszawy zajął się aferą tak gorliwie, jak gdyby conajmniej chodziło o nowy transport towarów angielskich w sklepie Jaziewicza, o nowy fason wachlarza, lub niezwykłą w maści odmianę suczki bobońskiej. Przed pałac nuncjuszowski zajeżdżały sznureczkiem karety dam wytwornych, aż monsignore uległ nareszcie naleganiom i najczulszym obietnicom.

Pani Humiecka poniosła dotkliwą klęskę. Zawiódł ją karzełek, oszukał Cagliostro. Miała bowiem „czerwoności” na twarzy, które Wielki Kofta uleczyć obiecywał. A swojemi maściami tak jej twarz skancerował, że do ludzi nie była podobną. Wyjechała z Warszawy i schowawszy się w dobrach swoich przeklinała karzełki, miłość i oszusta.

Zuzu Borusławski poślubił Izalinkę Barbon - tan. Miał żonę, sto dwadzieścia dukatów i był mężczyzną. Siedm cali wzrostu mu przybyło, ale się nie martwił. W listopadzie 1780 r. wyjechali w świat. Krasnoludek dorwał się wreszcie upragnionego człowieczeństwa i klaskał w rączki na myśl, że przestał być już oświeconem zwierzątkiem i świecidełkiem, białcem grandseigneur'ów. Tapczany oberż i domów zajezdnych wydały mu się w pierwszej chwili rozkoszą w porównaniu z jedwabną kaźnią pani Humieckiej. Ale rychło, bardzo rychło poznał odwrotne strony „człowieczeństwa”. Troska byt dawała się coraz bardziej we znaki. Mało kto ciekaw był go oglądać. Ot, znudził się ludziom poprostu: Mówili mu, że czas najwyższy, aby wreszcie - dorósł i przestał świat nagabywać swą lilipucią cudownością. A ten trzystopowy człowieczek stał się tymczasem ojcem trojga dużych i głodnych dzieci. Włączył się z tym przychówkiem po świecie *monsieur Joujou, celebre nain et gentilhomme polo - nais* po dalekich miastach i krajach po arenach cyrkowych i budach jarmarcznych, rozgoryczony na los, któremu dawniej błogosławił. Jakże śmieszne wydawały mu się teraz czasy słodkiego wojażu z panią Humiecką! kolana Marji Teresy i pierścionek dziewczynki, z której wyrosła Marja Antonina! Był to jakby sen Gulliwer, gdy go pan Swift wysłał do kraju olbrzymów w Brobdignang.

A GDY już było bardzo źle, zropaczony karzełek sprzedał swoje przyszłe

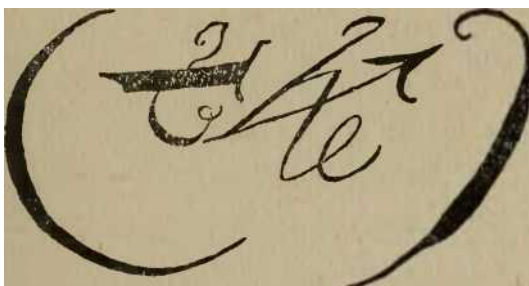
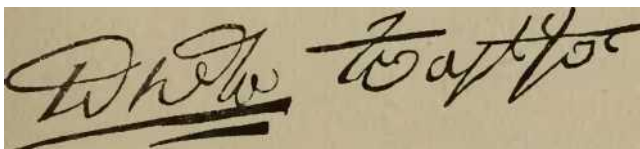
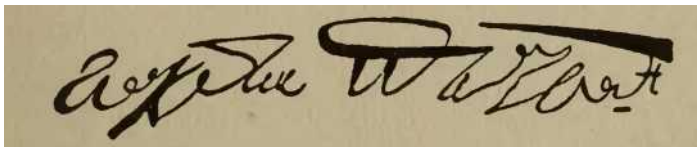
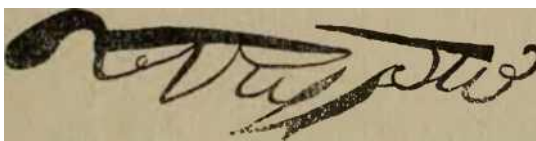
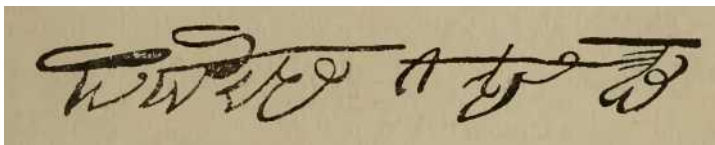
zwłoki amatorowi osobliwości i czekał śmierci. Smętnego nosiła żona wraz z córeczkami na rękach. Wtedy uratował go inny pomysł. Jak umiał, tak w nieskładnej francuzczyźnie opisał koleje swego żywota i ukazała się w druku książka: *Mémoires du celebre nain polonais Joseph Bo - ruwlaski, Paris 1788*, Nigdy dotąd żaden karzełek pamiętników nie ogłaszał, więc książka zyskała powodzenie. Tłumaczono ją na angielskie i niemieckie, i pisano o smutnym człowieczku uczone rozprawy.

Mamy przed sobą taki ozdobny i pięknie oprawny egzemplarz pamiętników, o których już ongi pisał Wójcicki (*Przyjaciel ludu*, 1837) i Kraushar (*Drobiazgi*, I.). Opis przygód Boru - sławskiego poprzedza wielce mądra przedmowa:

„Człowieczek taki, jak ja wydaje się czemś „niezwykłym - nieprawdąż? Bo oto matka - „przyroda poskapiwszy wyglądu dojrzałego ka - „zała mi być wiecznym dzieckiem, choć przy - „tem nie pozbawiła mnie wszakże roztropno - „ści, uczucia szlachetnego, nawet subtelnego „sposobu myślenia. Jestem z góry przekonany, „że mało kto zada sobie tyle trudu, by choć „już okiem rzucić na te karty. Spisuję tedy „dla własnej przyjemności tylko ważniejsze ze „swoich przygód, aby utrwalić w świadomości „różne sytuacje, w których bywałem, spisuję, „aby uprzytomnić sobie raz jeszcze te wrażenia „mego życia, które były zbyt ciekawe i zbyt „żywe, by dały się zagrzebać w niepamięć. „Wspomnienia moje zajmą chyba tego, kto „lubi podpatrywać przyrodę w jej różnych „dziwacznych odmianach, kto zwykł karłów „uważać za niedonoszone, ledwie nawpół doj - „rzałe płody, o wiele niżej stojące duszą i cia - „łem od ludzi zwyczajnych, tego nakoniec za - „ciekawia, kto radby poznać człowieczka ma - „łej budowy zewnętrznej, ale pod względem „obycia, zapatrywań, czy też upodobań i na - „miętności zupełnie nie ustępującego innym „ludziom. Co prawda, nie byłbym się nigdy „odważył puścić w świat tych pamiętników, „gdyby nie prośby kilku osób i to takich, któ - „rym nie mogę niczego odmówić”.

Z pamiętników swych zebrał *count Bom - wlaski* - jak go w Anglii nazywano - wcale okazały kapitalik i odtąd przez pół wieku prawie pędził jedwabne życie kapitalisty. Wydawał dużo, nauczywszy się rozrzutności u pani Humieckiej.

Osiadłszy z rodziną w północnej Anglii zajmował się namiętnie... chemią, a nie alchemią, oraz sadzeniem kwiatków. Był bardzo pobożny i uprzejmy. „Miał wielką znajomość życia, a sposób jego obejścia się był zawsze pełen uprzejmości i poloru”. Z gazet angielskich wycinał sobie z przyjemnością sławiące go wierszyki, pozował nawet do portretu, który dziś zdobi British Muzeum. Znakomity malarz Wiliam Collins darzył karzełka przyjaźnią. Niemcewicz bawiąc w Anglii widywał nieraz, jak go żona nosiła na ręku. Ale z czasem znudziło się pani karzełkowej to niańczenie i odjechała wraz z dziećmi, by sobie poszukać większego męża. *Count Boruwłaski* na starość musiał chodzić po świecie sam. I chodził dość długo. Na przekór noweli Oskara Wilde’a umarł dopiero w r. 1837, przeżywszy lat 98.



TALIZMAN CAGLIOSTRA.

„Daje wieczną młodość, powiększa brylanty, uczy sztuki robienia złota”.

Dama z karzełkiem przebaczyła potem niewdzięcznemu krasnoludkowi. Pozbyła się rychło pamiętki po Cagliostrze i bardzo pięknie prezentowała się na

karuzelu, który król Staś urządził w rocznicę odsieczy wiedeńskiej. Pani Humiecka, kuzynka króla Sobieskiego rozdawała nagrody zwycięzcom w turnieju. A gdy w szkatule coraz częściej dusiów brakować po - czynoło, poszła na służbę Imperatorowej. Trzysta dukatów co kwartału przysyłał skrupulatnie Imć Stackelberg gorliwej stronnicy Targowicy. Została nią nawet wtedy, gdy pan Kościuszko Insurekcję w Warszawie rozpoczął. Mieszkała przy ulicy Koziej i szczerze wywdzięczyła się Moskwicinowi. Szczęście dla niej, że pan Kościuszko miał serce miękkie, a pan Kiliński o tem nie wiedział. Bo to pani Humiecka właśnie ocaliła życie Igelstromowi w czasie Insurekcji. Wpadł do niej, prosząc o ratunek i nie zawiódł się, bo go tyłem swego domu bezpiecznie wypuściła. Ty byłbyś tego nie zrobił, karzełku!

Romans Prababk'.

NIENAWIŚĆ, SIOSTRA MIŁOŚCI.

NA OSTATNIM planie „Rejtana** Matejki w grodzieńskiej loży sejmowej siedzi stropiony nieco Repnin w towarzystwie dwu żywo parlu - jących dam. Pani z lewej strony, skromniejsza i mniej piękna, jest gen. Grabowską, pani z prawej, rozparta wytwornie, w śnieżnych fiokach, bryzowanych manelach i z przepysznym wachlarzem w ręku to księżna marszałkowa Elżbieta Izabela z Czartoryskich Lubomirską. Ta sama, dla której Olimpijczyk Goethe przedłużył o dni ośm pobyt w Karlsbadzie, a kardynał Archetti urządził w Bolonji tak wytworne przyjęcia, że gorszono się nawet w rokokowym Watykanie. Z rysów i sylwety przypomina trochę panią de Pompadour, którą chciała istotnie zostać *dans ce pauvre pays*, ale nie stało w Polsce Ludwika. W małych intrygach zmarnowała wielkie talenty, ale trzeba o niej mówić w samych superlatywach: była najbogatszą, najdumniejszą, wśród wytwornych najpierwszą, wśród sprytnych najchytrzejszą, ponadto najbardziej z życia niezadowoloną, a także najniezszczęśliwszą i do końca samotną. Niekoronowanych królów liczono w wieku 18-tym na tuziny, ale królowa niekoronowana była tylko jedna: ona właśnie, *gentildonna de 18-cento*, nadwiślańska Pentesi - lea, *madame 1 étiquette sans peur ni reproche*. Olśniewać Europę chciało każde z sarmackich królicząt, ale jej jednej udało się to w istocie; kosztowało, bo kosztowało

krezusową fortunę, ale za to, gdy kto na dworach Europy zapytał o *la princesse maréchale* wiedziano, że tylko odwie panie chodzić może: *Beauveau de Luxemburg*, albo *Lubomirską de Pologne*. Tria - non nazywał ks. marszałkową przyjaciółką domu, Marja Teresa lubiła bardzo z nią gawędzić, Fryderyk W. uważał ją za wyrocznie etykiety, Marmontel zapewniał, że mówi lepiej po francusku, niż członkowie Akademji, Casanova odbył podróż umyślną, by ją zobaczyć, a Ksawery Branicki, który chyba przed nikim czołem nie uderzył, wyznał raz szczerze: „Tęgość ducha ks. marszałkowej napełnia mnie adoracją. Patrzę na nią, jak na heroinę”. A tylko jeden prostaczek ks. biskup Paweł Woronicz miał raz z panią wytworną nieco kłopotu. Nie wiedział zgoła o czym mówić, gdy przyszło mu nad trumną 86-letniej matrony wyliczyć jej sługi dla Ojczyzny za-

**

*

Właściwie tylko dzięki Elżbietce został jej brat stryjeczny, król Staś - królem Stasiem. Chowali się oboje od młodości razem w Wołczyńce u pani Konstancji i wtedy błękitne dziewczątka, niby owa pastereczka z noweli Mar - montela, rozmiłowało się na zabój w rówieśnym kuzynku. *Evénement* zgoła niepotrzebne, *faux pas* oczywisty! Kuzynek bowiem jest wnukiem ekonoma i jednym z sześciu owoców mezaliansu p. Konstancji, a księżniczka najbogatszą w almanachu gotajskim panną, dziedziczką najświetniejszej w Polsce fortuny i pieścidełkiem, na które nie wiedzieć, jak huchać. O liljach burbońskich mówi się, o habsburskich orłach, o młodym Briihlu w ostateczności, ale nigdy osarmackim Ciołku. Gdy ten dziewczęcy sentyment coraz więcej dawał do myślenia, grą - żąc panienkę w „piętach i żalach gorzkich”, wysłano młodzieńca poraż drugi w świat. Pojechał bez żalu, tembardziej, że nie zdołał jeszcze zdecydować się, czy ją bardzo kocha, czy może mniej. I wtedy właśnie nabrał wszystkich pięknych manier, którym później zawdzięczać będzie koronę. Elżbietka kochała dalej nieobecnego kuzynka, czekając, co z nią zrobią. Z nudów przeczytała, podobnie jak jej rówieśnica, Katarzyna Ilga, wiele przemądrych książek, pilnie przytem słuchając przyjemnych opowiadań matki swej, niewiasty srodze uczonej, ba

nawet w Akademii Jagiellońskiej. Lata bieły, kandydata odpowiednio dostojnego nie było. Marjaż z Briihlem nie udał się, projekty dynastyczne zawiodły. Marzenia o burbońskich liljach i habsburskim orle podeptał wreszcie równie schorowany, jak obyty w świecie suchotnik, starszy od panny o lat 14 strażnik w. kor. Stanisław Lubomirski. Marjaż stęsknionej za życiem kobiety (miała już lat 23) miał tylko jedną dobrą stronę: dawał możliwość wędrówki po lecznicach i sanatorjach całej Europy, obietnicę poznania wielkiego świata, do którego rwała się od dziecka dusza smutnej księżniczki. Podróże i spoglądanie na świat wielkimi oczyma to młodość ks. marszałkowej. Nauczyła się sztuki błyszczenia, zgłębiwszy wszystkie tajemnice wytwornych savoir - vivre'ów i ma cel wzniosły przed sobą: Chce opowiedzieć nieufnej Europie, że i nad Wisłą są karoce pozłociste i damy wytworne, że i w Polsce palą się rakiety oświeconej lekkomyślności.

Sieje naokół worami polskiego złota, grandi - loquentią zjednywa najtwardszych karmazynów i cel osiąga, pierwsza markiza polskiego rokoka, wysłana na pokaz Europie. Rezultaty przywiezie wspaniałe: Wcale uprzejmy uśmiech pani de Pompadour, kilka słów delfina obojętnych, ale przyjemnych, życzliwość pani de Lamballe. I wtedy zaprzysięgnie wieczystą wierność jednemu imperatorowi, którego czuje się poddaną: Ludwikowi XV. i wtedy uzna jedyną rację stanu, rację wytwornego życia.

Podróże ks. strażnikowej miały na celu, oprócz kuracji ks. małżonka, skrócić niecierpliwie oczekiwania na łaskę fortuny, która obiecuje uśmiechnąć się szczerze. Niech tylko umrze August Sas 111. Tron będzie nasz! Królem polskim zostanie albo ojciec księżniczki ks. wojewoda August, albo jej brat jedyny ks. Adam. Ojca uwielbia, brat jest od niej mądrzejszy, ale ani w części tak sprytny, a więc będzie uległy. Atoli wola Petersburga zważyła kwiaty fortuny, przekreślając bezlitośnie rachuby dumnej pani. Królem został ten właśnie niezdecydowany kuzynek, którego od dziecka kochała. Kuzynek, który po powrocie z zagranicy przechodzi mimo wdzięków młodej mężatki, podobnie jak dawniej lekce sobie ważył uczucia dziewczątka. Kuzynek, który po latach, gdy mu pod złocistą koroną bujne zsiwieją

włosy, napisze bardzo niezszerze w swoich pamiętnikach: „Czuliśmy wzajemnie ku sobie największą sympatię, ta zmieniła się powoli w ścisłą i tkliwą przyjaźń i przez długie bardzo lata była najśłodszym nawykniem mojego serca”.

Zdarzyło się, iż tego samego południa, kiedy dzwony kościołów warszawskich obwieszczaly dokonana na Woli elekcję, stolnik obiadował wespół z ks. strażnikową. Gdy on, tłumiać wzruszenie, łowił dźwięki tryumfalne powiedziała: „Przeznaczenie przechyliło szalę na Twoją korzyść, a więc powiadam sobie, że tak, jak się stało, stało się dobrze i gratuluje Ci z najszczerzego serca”. Cóż innego miała powiedzieć? Przecież nie sposób było wyznać, że wczoraj jeszcze ks. ojciec zalecał najsurowiej na radzie familji: „Ile możliwości musimy królowi temu pokazać, że się bez niego można i należy obchodzić”. Jest od niedawnego czasu w modzie dawny pisarz dramatyczny, „Aniel - czyk peien, Szekspir imieniem”, dzieła jego leżą wszystkie na gotowalni ks. marszałkowej. Czyta młoda pani i znajduje myśli przedziwne i znajduje plany niesłychane. O fortuna, skąpa

W uśmiechach, wiedz, że mimo wszystko tron będzie nasz! Ks. miecznikowa już wszystko obmyśliła: Albo zostanie polską panią de Pompadour i wygra walną bitwę z uczuciem, jakie król pieści w serca dla Imperatorowej, albo stanie na czele wszystkich ludzi, którzy przeciw Ciołkowi Idą i wygra z nim bój ostateczny. Tron musi być nasz. A jeśli nie będzie naszym, nie będzie także i twoim tronem. I chyba tylko „Anielczyk pewien, Szekspir imieniem”, - który właśnie wchodził w modę i był najmilszą lekturą ks. strażnikowej - jeden tylko jest w stanie objąć cały ogrom uczuć gorejących w nienawistnem sercu.

Ks. strażnikowa stała się najbogatszą damą w Polsce. Odziedziczywszy połowę fortuny Sie - niawskich, Opalińskich i Denhofów wzięła miast szesnaście i pięćdziesiąt włości w posiadanie, była panią setki kluczów, pałaców i zamków, lasów, kopalń, młynów, fabryk i gorzelnii od Tęczyna po Brzeżany, od Międzyrzecza po Karpaty, władała piaskami Mazowsza i świerkami Beskidu, czarnoziemem Wołynia i latyfundjami Czerwonej Rusi. Miała Wilanów i Krzeszowice, Starokonstantynów i Łańcut, Tenczyn i Rytwiany, Grzymałów i Międzyrzecze,

Staresioło i Hre - benów, Satanów i Przemyślany, Narajów i Wiśnicz, Przeworsk, Staszów, Opatów, Brzeżany i Szarogród. Posiadała ks. strażnikowa tyle miljo - nów dukatów, ile wiosen liczyło jej życie. A wszystko razem za wiele było, jak na polską panią de Pompadour i za mało... Mimo szesnastu miast i pięćdziesięciu włości fortuna zwlekała z obietnicą. Angielczyk Szekspir uczył cierpliwie dalej.

„Zwabiła sobie była ks. strażnikowa to prawo, codziennie o którejkolwiek godzinie, a najczęściej wieczorem bywać u mnie” - powiedziano nie bez ironji w królowych pamiętnikach. Ale prawo nie wiele pomogło. Tronem chwiały różne mocne wpływy. Chwiały^ jak trzcina. Bywając o „którejkolwiek godzinie” widziała ks. strażnikowa w gabinecie królewskim rzeczy, raniące ambicję i miłość własną. Widziała damy coraz inne, którym ulegał młody suweren, widziała okoliczności, których by[niewolnikiem. I tylko roli dla siebie w tem wszystkim znaleźć nie umiała. Kuzynek bał się przyjaciółki lat młodych, wietrząc w każdym jej słowie jadovitą intrygę stryjów. Nie została polską panią de Pompadour, lecz hufiec wrogów korony okrzyknął ją swą Pentesileją.

Odtąd nienawiść będzie radością jej życia. Nienawiść słodka, jak koloryt Bacciarellego, i tak w uśmiechach wabnych skryta, jak puder różowy skrywa lica elegantki. Zawiść śmiertelna, ale uśmiechnięta. Zawiść potrójna, poczwórna, poszóstna. Do króla i braci, za to, że nie chcą dawać posłuchu jej ojcu i stryjowi, do bratowej, która jest piękniejszą i mądrzejszą, a przytem pierwsza posiadała łaski wietrznika, do „Poni” i „Brani”, *alias* do Poniatowskiej, matki ks. Józefa i Branickiej, żony hetmana, przeto, iż z ks. generałową żyją w serdeczności. A te cztery nienawiści ks. marszałkowej, to cztery sprężyny w zegarze polityki dworskiej przed pierwszym rozbiorem i cztery kłody, na których najpier potknie się zapatrzony w gwiazdy suweren.

Potknął się, ale nie wywrócił, grzeczny był i wylany dla kuzynki, ale innych słuchał, zaczem doszło jak się zdaje między obojgiem do sceny przykrej, ostatecznej, a ks. marszałkowa w r. 1766 wyjechała nagle do Paryża. Nie po to, aby błyszczeć, lecz, aby się do syta wypłakać. Przeżyje nad Sekwaną kilka szarych miesięcy,

zamknie się w odosobnieniu, głucha na powaby szumiącego życia, nazywana „Aspazją” przez *maman* Geoffrin. Dobra córka furmana i przyjaciółka filozofów z ulicy St. Honoré czuwać będzie nad nią ze szczególną tkliwością i W pełnych wyrzutu słowach napisze królowi do Warszawy: *Votre Majesté ce doit quelques mea culpa sur sou état*

Tymczasem w ogródku wielkich ambicji rozkwitnął skromny, złośliwie skromny kwiatuś: księżę małzonek, cieszący się ponad zasługę wiernością żony, dotąd strażnik wielki koronny, został na sejmie Czaplica takim samym wielkim koronnym - marszałkiem. Marszałkowa wróciła do Warszawy wioząc z sobą trochę ochoty do życia, tuzin toalet ostatniego stempla, oraz pomysł najnowszej fryzury, o której przepychu będzie w kilka tygodni później mówić cała [Warszawa. Koafiura dwustopowej wysokości naśladowała fale wzburzonego morza, na którym płynął cudny okręcik ze złota i koralu, a na łańcuchu weneckim spływała w dół złota kotwica. Lecz próżno dociekały damy zawistne, czyli to był emblemat nie straconych jeszcze nadziei, czy może raczej znak przybicia do spokojnego portu?...

Księstwo marszałkowie otworzyli dom wspaniały i wytworny, zgnębiona pani zapomniiała na chwilę o niedoli życia. Zaopiekował się nią najłaskawiej czas, w którym żyła, dał jej ukojenie wiek XVIII., który dla ludzi smutnych i znudzonych obmyślił wiele kolorowych zabawek, jakoto: książeczki mądre i pieski malowane, sztuki piękne i ogrody strzyżone, oraz ową przedziwną *lart de faire rien d'une manière agréable*.

Nie można przecież odchorowywać każdej nowej metresy królewskiej, trudno się martwić lada bezmyślnym wybrykiem rozpanoszonych braci Ciołkowych i każdym figlem szatańskim posłów Imperatorowej. Przygłuszywszy w sercu krzyki niespełnionych ambicji pocieszała się ks. marszałkowa rozkoszami życia wytwornego.

W blaskach miłości złotego szychu przybladła nawet nienawiść. A przeto król Jegomość, „Brańcia” i „Ponia” jawili się nieraz na assamblach u ks. marszałkowej, które były świetniejsze, niż na Zamku, które były najświetniejsze w Polsce.

Albowiem już nawet na polskich piaskach schodzić zaczęły pęki słodkiego kwiatu, który koi bole i zawody życia, kwiatu rokoka.

*

**

Powiedziano w dekalogu życia wytwornego, aby kochać teatr i sztuki piękne, frak z żabotami i wazę marmurową, ogród strzyżony i plafon pałacu, ręką mistrza zdobionego. Powiedziano, aby radości życia szukać w dyszącem barwami wnętrzu i złocić szarość dnia pospolitego. Miała szesnaście miast oraz włości pięćdziesiąt ks. marszałkowa i zaprzęgała wszystkie do pracy. Jako na rozkaz Faraonów egipskich mrowie ludu czarnego trudziło się przy budowie piramid, tak teraz na skinienie ks. marszałkowej pracowały sioła, młyny, kopalnie i fabryki, aby spełnić zachcenia księżniczki, która miała tyle milionów dukatów, ile wiosen liczyło jej życie.

Wstawiały zamki i pałace. Pierwszą godną siebie rezydencję zbudowała sobie ks. marszałkowa w Mokotowie, gdzie do niedawna ciernie tylko rosły. Był to letni flamandzki pałacyk z wieżą i kilką sal przemiłych, w którym angielska i francuska sztuka ogrodnicza podały rękę polskiej rozrzutności. Stał gaj zaczarowany, zdobny w najdziksze krzewy i rośliny, były menażerje, oranżerje, cieplarnie i gołębniki. Były kaskady, mozaiką wykładane, grotty z krakowskiego alabastru, szałas indyjskie i chatki rybacze. A w pośrodku gaju pałacyk z kory drzewnej, wzniesiony na szesnastu pniach olchowych, najdroższymi matami z Anglii wyłożony wewnątrz; kwitnął tam głóg i tarnina z porcelany, oraz cieszyła oko sadzawka w otoku krzewów pomarańczowych, okryta



M. L. E. VIGEE LE BRUN. - KS. MARSZAŁKOWA LUBOMIRSKĄ. namiotem w arabeski pomalowanym. Na łąkach Mokotowa mieszkali świątobliwi pustelnicy w pasiekach, pasło się bydelko pod strażą prawdziwych pastuszków holenderskich, żyły węże, żurawie i bociany w klatkach i widniał most zwodzony do zamku królewskiego. Wiele rzadkich i najdroższych drobiazgów zgromadzić umiała ks. marszałkowa w ustroniu Mokotowskim, tylko jednego nigdzie znaleźć nie mogła: zadowolenia.

Obok cudów pudrowanej natury cuda rokokowej sztuki, zgromadzone we wnętrzach pałaców księżny w Wilanowie i Warszawie. Do dawnych świetności rezydencji króla Jana dodała ks. marszałkowa nowe; sama Wenus, Gla - djator i Apollo, na rozkaz księżny z ołowiu ulani i pozłoceni, stanęli na straży wilanowskich

pamiętek. Inne dzieła sztuki mieścił pałac warszawski, który od ojca dostała w posagu. Był tam Tycjan, Corregio i „Miłosierdzie” Carrac - cia „dwa mniemane, Van Dycki i cztery Ru - bense” był Watteau i Boucher, wazy marmurowe, porcelana japońska, całe włóki dywanów - „całość urządzona z przepychem”, jak nas upewnia świadomy rzeczy podróżnik francuski. Gdy w r. 1789 pójda te skarby na wystawę w Salonie paryskim, przybędzie jeszcze

Romans Prababki.Q jeden laur w wieńcu sławy ks. marszałkowej. A w końcu zgromadzi je w dalekim Łańcucie, który będzie jesienną przystanią zmęczonej życiem principessy. Inne przeznaczenie miała rezydencja w Krzeszowicach. Stała tam świątynia zdrowia, szpitala i przytuliska, zbudowano pierwszą w Polsce stację klimatyczną, za co uwielbiały fundatorkę Eskulapy. I tylko brakło Trembeckiego i Dellille’a, iżby w rym zakleli dzieła rozrzutnicy. Po latach wielu zastąpi ich przejezdny Niemcewicz, gdy patrząc z bryczki na rozwalone świetności zaśpiewa w zachwyceniu:

Trzebaby piórko z skrzydeł motyli W bławatach tęczy umoczyć,

By, gdzie się sztuka z przyrodzeniem sili To wiernie skreślić i w niczem nie zboczyć.

*

**

Nie chodziła nigdy na warszawskie teatrum, a przecież należy do historii sceny polskiej. Powód ignorowania był wystarczający. Miała wprawdzie ks. marszałkowa wstęp do łoży błękitnej (*loge des princes*), lecz nie miała go do „małej łoży królewskiej nad teatrem”, czem szczyliła się wyłącznie pani generałowa Grabowska. z umiowań teatralnych ks. marszałkowej skorzystał natomiast sprytny znawca ludzi, kamerdyner i starosta Ryx. W akcie erekcyjnym gmachu teatralnego przy placu Krasickich zaświadczo potomości, jako *hunc primum lapidem Isabella Lubomirską posuit de*

1/. *martii* 1779, Jej sumptowi zawdzięczał teatr swe powstanie, a wszystkie sceny amatorskie w domach magnatów miały w niej przemądrą doradczynię i

orędowniczkę.

Kiedy brat jej, ks. Adam, powołał do życia korpus kadetów, ks. marszałkowa z gronem dam krzątała się pilnie, izby młodzieńcy mieli teatr przyzwoity. W pałacu kazimierzowskim dawano reprezentacje, Ursynek Niemcewicz grywał role kobiece, Kniaziewicz czuł się lepiej w bohaterskich. I uczyli się posłusznie ról, które damy przepisywały i słuchali rad ks. marszałkowej, kierującej próbami i doborem sztuk. Byle im tylko w głowach nie przewracał Imć Bogusławski i wszyscy Zabłoccy, którzy myślą, że aktor ze sceny może mówić polskim, wulgarnym językiem! Racine'a i Corneille'a nie ma już na świecie, bo gdyby jeszcze żyli spotkalibyśmy ich niechybnie na sympozjach pani wytwornej, tak jak później w Paryżu spotkamy Alfieri'ego. W braku Racine'a czy-

9* nił to słynny recytator, komandor, Maisonneuve^ który tak pięknie deklamował klasyków, że damy mdlały po każdym akcie. Komandor Maisonneuve umiał także śpiewać i piękne czynić wierszyki. Miał posiadłość blisko Mokotowa wiecznie asystował ks. marszałkowej. Mówiono otem z tajemniczym uśmiechem, a pan Węgierski sprawę w rymki złośliwe przyodział. Ale to pono była tylko plotka. Na przekór zwyczajom wieku umiała ks. marszałkowa okryć tajemnicą dzieje swego serca. W barwistym biegu jej życia Eros nie jawi się nigdy na otwartej scenie, legenda miłości dziewczęcej żyje zawsze nieskalana. I pod tym względem była także jedyną tą mokotowska markiza, do której napróżno wzdychał poeta:

**Czyliż królowa ma ogrodów więcej Róża jasności, niż blask krwi książęcej
Lub tyle Himet we fiołkach dziedziczy Ile ma wdzięcznej Twa postać słodczy?**
gdzież w tem wszystkim nas znaleźć na uciechy życia domowego, tembardziej, gdy ono nigdy zbyt nie zajmowało ks. marszałkowej? Ks. marszałek słabował i politykował dalej, córeczki cztery rosły, a rosły pod przezorną opieką ks. Piatollego, o ile zajęty interesami księżnej maestro miał czas na pedagogję. Wolałaby jednego syna, miast tych czterech urodziwych księżniczek, z których jedna poślubi potem Ignacego Potockiego, druga hetmana Seweryna Rzewuskiego, trzecia Stanisława Potockiego, czwarta Jana, podróżnika i pisarza. Ale żadna nie pozyska miłości matki.

*

**

...A nagle na ściernisku oschłej galanterji wyrasta wielki pęd złego czynu, w bukicie kwiatków porcelanowych rozkwita zielsko żywe, trujące. Lady Makbet ubrała perukę. Lukrecja Borgia tańczy menueta!... Nienawiść uśmiechnięta dysząc, rozkoszą zemsty zawiązuje węzeł najchytrzejszej intrygi, jaką kiedykolwiek zapisała historia dworu polskiego. 1 szkoda, że sprawa działa się w Polsce, bo tylko dlatego Dumas nie napisał o niej powieści, Sardou komedji i nie rozstawiły aktorów filmy kinematografu. Owem *chef doeuvre* ks. marszałkowej jest afera trucicielska pani d'Ugriumow (1785). Uczynimy króla zbrodniarzem, skoro go w inny sposób zwabić z tronu nie można, zbrukamy mu dłonie krwią i trucizną* Angielczyk pewien Szekspir radził tak oddawna swojej wielbicielce. Awanturnica holenderska pani d'Ugriumow, która już przedtem próbowała podobnych machinacji ze stroną przeciwną, będzie tylko podstawioną kukiełką, bo za kotarą skryła się ks. marszałkowa. Ona rozwinięta nikły pomysł intrygantki w przepyszną intrygę, nie - ustępującą w wykonaniu najświetniejszym aferom kryminalnym. Z całym wykwiśniętym znanstwem sceny i teatru układa ks. marszałkowa plan spektaklu, dobrawszy sobie do pomocy warchoła Branickiego, hetmanową Ogińską i obu zięciów. Role rozdano aktorom niezawodnym: Jest kupiec angielski Taylor, jest zięć ks. marszałkowej Ignacy Potocki i adjutant ks. generała. Ofiarą intrygi mają paść zauszniczy króla Ryx i generał - adjutant Komarzewski, poczem na osobę Najjaśniejszą padnie upragniony cień - truciciela. Spektakl się zaczął: Na sali czeka prowadząca grę d'Ugriumowa oraz jej ofiary, Ryx i Komarzewski, za drzwiami podsłuchują Taylor, Potocki i adjutant. Ks. marszałkowa czeka niecierpliwie na górze. Rozmowę zaaranżowano tak tajemniczymi dwuznacznikami, iż wynikło z nich niezbitie: Dwór królewski polecił pani d'Ugriu - mow uśmiercić najgroźniejszego rywala ks. Adama Czartoryskiego, brata ks. marszałkowej i podać mu podstępnie truciznę, która kości jego w przeciągu kilku minut w próchno zamienić miała. Akt pierwszy spektaklu powiódł się doskonale, machina piekielna

funkcjonowała bez zarzutu. Ryx aresztowany został jako zbrodniarz, generał Komarzewski jako współwinny, cała Warszawa podzieliła się na dwie wrogie partje, między pałacem Błękitnym a Łazienkami wszczęła się bitwa ostateczna, decydująca... Życie polityczne całej Rzeczypospolitej wstrząśnięte, jak od uderzenia gromu, w całej Europie ciekawość żywa i wyczekująca, dyskusje, pojedynki, broszury, paszkwile, śledztwo, a wreszcie wielki proces. Ks. generał Czartoryski oskarżył Ryxa i Komarzewskiego o zamiar otrucia go, Ryx pozwał księcia i Dogrumową opotwarz, Taylora i Potockiego o napad zbrojny. Dalszy ciąg spektaklu pod nieustającą reżyserją ks. marszałkowej. Półtrzecia miliona złp. wydali Czartoryscy, Branicki, Ogińska, sto - tysięcy dukatów sypnęła ambitna reżyserka. Mimo to akt drugi przepadł z kretesem. Intryga wyszła na jaw. Ryxa i Komarzewskiego uwolniono jako niewinnych. Ks. generał z Ignacym Potockim skazani zostali na grzywny, d'Ugriumowa na dożywotnie więzienie. Ks. marszałkowa ułatwiła awanturnicy ucieczkę i zrozumiała, że jej rola w Warszawie skończona.

Pani szesnastu miast i pięćdziesięciu włości opuszczała Warszawę na zawsze. Zostawiała pałace i zamki, młyny i fabryki, ogrody strzyżone i antyki, zostawiała trzy córki i świeży grób niekochanego męża, który umarł w r. 1783. Wyjeżdżała poraż drugi do Paryża na nowe jeszcze wspanialsze i jeszcze samotniejsze życie. Angielczyk pewien Szekspir nie miał na drogę nic do. powiedzenia swojej uczenicy...

Do rzędu wytwornych salonów Paryża przybył jeszcze jeden, egzotyczny trochę dla Francuza. Otworzyła go w Palais Royal markiza z Mokotowa, w nowej fryzurze *augalante desespoir* Ponieważ w całym Paryżu nie było do wynajęcia pałacu, godnego jej milionów, więc go wypada zbudować. Wznosi się w tym celu dwa nowe skrzydła w Palais Royal. Sypią się krocie, coraz nowe krocie złocistych dusiów. Polskie sioła, młyny i kopalnie prężą w krwawym trudzie, pracują piaski mazowieckie i lasy Beskidu, stara się o to czarnoziem wołyński i czerwonoruska wieś, iżby się godnie wydał splendor ks. marszałkowej w Paryżu. Nie ma progów zbyt wysokich. Przyjaźń pani de Lamballe, ochmistrzyń królowej Marji Antoniny

daje ks. Elżbiecie wstęp na salony dworu. Przedstawioną jest Ludwikowi XVI. i królowej, poznaje kardynała de Rohan, Ducisa, Marmon - tela i panią de Beauharnais. A oto najbliższy krąg przyjaciół, którzy uświetniają jour fixe'y ks. marszałkowej: Tomasz Jefferson, przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych, obecnie poseł w Paryżu, Dominik Denon, sztycharz i dyplomata, głośny towarzysz Napoleona w Egipcie, Retif de la Bretonne, głośny tragik Alfieri, genialny malarz Greuze, genialny tanecznik Vestris. Przytem wszyscy zjeżdżający nad Sekwanę Polacy: Brat i siostrzeniec, Niemcewicz, wówczas jeszcze danser zawołany i barwna falanga innych. A na dworze warszawskim odczuwają dotkliwie, że ta nieoficjalna ambasada polska w Paryżu czyni Poniatowskiemu więcej złego, niż mu dobrego zrobić potrafią wszyscy jego oficjalni ambasadorzy. Nienawiść ochłonęła z szalonego spazmu i uśmiecha się słodko, jak dawniej.

Nazwisko ks. marszałkowej przechodzi do historii sztuki, a to z powodu bezliku portretów, które malują pierwsi artyści rokoka. Ona to wprowadza w modę panią Vigée Lebrun i bywa od r. 1789 stałym gościem w pracowni Greuze'a, namiętna kolekcjonerka jego główek dziecięcych. Kupuje je trochę dlatego, że są precyzyjne, a trochę w obawie, że zabierze miłe obrazki król polski, któremu się także podobają! Któż zaś i na jakie sposoby nie portretował ks. marszałkowej ciągu długich lat jej życia? Pozowała Gillisowi i Hummelowi, Greuze'owi i Bacciarellemu, Lampi'emu i Grassi'emu, Pitschmanowi, Geigerowi, Dłuskiemu, Marteau i wielu innym. Malowano jej miniatury na srebrze i kości słoniowej, na welinie i płótnie, jako młodą panienkę w kontusiku z czapłą piórem, jako damę wytworną w piórach strusich lub ost - indyjskim zawoju, jako staruszkę sędziwą w fotelu i czepku. Ale najchętniej i kilkakrotnie pozowała w asamblowej toalecie niebieskiej, z szalem czerwonym na ramionach. Jeszcze nie wyzbyła się zupełnie planów politycznych i zabiega u dworu, czyby nie można wyswatać króla Stasia, z którąś z bour - bońskich księżniczek krwi. Jej samej śnać pisana samotność. Samotność ponura i bolesna, która wzbudzi sentyment nawet u dawnych nieprzyjaciół. Bo oto posłuchajmy, co doradza młodemu synowi, bawiącemu w Paryżu ks. generałowa

Czartoryska, tyle jej ongi nienawistna: „Nie zapominaj nigdy, coś winien księżnie mar - „szałkowej. Pamiętaj, iż mało ma węzłów.

„które ją uszczęśliwiać mogą, pamiętaj, że „okazując jej przywiązanie, możesz jej osłodzić „niejedną chwilę”.

Na pocieszenie duszy znudzonej wymyślono wozację po świecie. Ks. marszałkowa podróżuje. Odwiedza Anglię, gdzie już bywała za młodych lat i ma oddawna kordjalne stosunki z salonem londyńskim i lożą masońską. Wśród farmozonek Wielkiej Brytanji piastuje wysokie godności, a panie z highlife* u uważają ją za Woltera w krynolinie. Mędrzec z Ferney odkrył pierwszy przed Francuzami piękności literatury angielskiej, ks. marszałkowa opowiada wszem wobec na kontynencie o tem, jak odrębnym i urozmaiconym jest ton życia wyspiarek.

Z Anglii wozaj do kraju, ku któremu tęsknił daremnie przez życie całe Stanisław August, do Włoch. Ks. Izabela Czartoryska odbyła podróż osobną, aby poznać J. J. Russa, ks. Elżbieta natomiast nie ciekawa tego dzikiego człowieka, który radzi powrócić do natury i zaleca matkom osobiście karmić niemowlęta, *ja - mais!* „Dama wytworna nie może być mamką - mówi z oburzeniem do hr. Thiirgheim - bo dzieci będą zawsze głodne, a mamusia będzie cuchnąć serem”. Od Russa ciekawszy Petrarka. Ks. marszałkowa pielgrzymuje do grobu Pe - trarki. Tu - wedle świadectwa p. Mniszchowej - płacze łzami rzewnymi nad kościotrupem ukochanego kota poety, kotek liczy już bowiem lat czterysta i był własnoręcznie przez kochanka Laury balsamowany. W Rzymie wchodzi księżna w szumiące pustotą koła arystokracji włoskiej, grającej w karty, zbierającej antyki i nudzącej się, ale lazurowo. W modę weszła właśnie Angelica Kaufman, która jest z rysów podobną do św. Cecylji, a bohaterów swoich maluje *à la grecque*. Karoca polskiej pani zatrzymuje się często przed pracownią artystki. Chętniej niż kiedykolwiek odwiedza teraz pracownię, aby wszędzie zamawiać portrety prześlicznego dziecka, które stało się teraz radością jej życia. To Henryk Lubomirski, ukochany wychowanek. Kto wówczas nie portretował papinka ks. marszałkowej, ten zaprawdę nie musiał się liczyć do znakomitości.

Malowała Angelica Kaufman i p. Vigée Lebrun, Cosway i Füger, duchesse de Polignac i Louise Weyler, Daffinger i Marszałkiewicz, oraz falanga innych. Razem tuzinów trzy. Pani Vigée Lebrun umyśliła nadać chłopczykowi postać „genjusza chwały”. Wprawdzie ks. Henryk Lubomirski nie był wcale genjuszem, a także nie miał się czem chwalić, ale portret podobał się powszechnie. Angelica natomiast zmieniła dziecko w nagiego i chudego amorka, może dla odróżnienia od lorda Camelfortha, który rozkazał artystce (malarze rokoka byli ludźmi posłusznymi) wyobrazić swą córkę w postaci Heby, trzymającej w ręku czarę, z której pije orzeł. Nakoniec Canova wykuł książątko w marmurze jako kupidyna. Na brak rozrywek i uznania nie może się skarżyć markiza z Mokotowa. Przyjęcia i uczy, jakie na jej cześć urządza w Bolonji rozrzutny kardynał Archetti określi pani Platerowa jednym, drżącym z podziwu słowem: *magnifiques!*

Latem mają miejsca kąpielowe zaszczyt goszczenia niekoronowanej królowej polskiej. Myje pokornie jej rasowe stopki Adrijatyk, pomaga kapryśnemu apetytowi *sprudel* Karlsbadu, leczy cerę Pymont, koi nerwy znudzone Spaa i Ostenda. Dopiero co weszły w modę, a przeto cieszą się odwiedzinami ks. marszałkowej. W Karlsbadzie przedstawia się damie Goethe i Casanova, (umyślnie po to przyjechał). Obaj zachwyceni. W Pyrmoncie dzieją się rzeczy nierównie dostojniejsze. Do tej letniej rezydencji, urządzonej z przepychem przez rozrzutnie[^] zje - dzie w r. 1788 pruska rodzina królewska wraz z późniejszą przyjaciółką księżny, córką Fryderyka Wilhelma II., zamężną księżną York. „Zastawiano proszone podwieczorki w malowniczej oprawie murów pobliskiego klasztoru, to znów w młynie, przypominającym rozkosze Trianonu i Sanssouci”. Historycy powiadają, że wtedy w Pyrmoncie, gdzie przybył też ks. Adam, Ignacy Potocki i nieodstępny famulus Piatoli - ułożono pierwsze podwaliny przymierza polsko - pruskiego.

* iii

...A potem świat się skończył. Stało się coś, czego nie przeidziano w żadnym kodeksie etykiety: srebrne peruki rokoka legły w kurzu ulicznym, splamione brzydko krwią, w ogrodach Palais Royal grali w[^]karty jakobini, societa salonów

Paryża poszła na swój ostatni, straszliwy assambl, urządzony przez Robespierre'a na deskach szafotu. Świat skończył się. Uciekając z pałacu swego w Palais Royal przed zemstą rozpasanej tłuszczy, była tego pewna ks. marszałkowa. To nie tylko Ludwik XVI. dawał głowę pod topór, wraz z nim wstępowała na szafot cywilizacja, kula ziemską, kosmos. *Tout finit par des chansons* zapewniał ongiś Ciamfort, ale *ta* piosenkę śpiewali teraz jakobini. Księżna marszałkowa zmieniła przedmiot nienawiści. Cóż jej i komu szkodzi teraz ten słaby król polski, jest sprawa inna, godniejsza: Wielka Rewolucja. W osądzie, jakim darzy markiza z Mokotowa wypadki roku 1789 tkwi coś wprost symbolicznego, w jej wzgardliwym spojrzeniu, jakim obrzuca paro - basa z *tiers'état*u* wyraża się epoka cała. Marja Antonina przestała być królową Francji, Elżbieta Izabela z Czartoryskich Lubomirską uległa także detronizacji. Niema już dawnej *princesse maréchale* w przecudnej fryzurze *au galante désespoir*, na peryferjach Paryża kryje się przed pościgiem nieuczesa *la citoyenne Lubomirską*. Nie myślcie, że drży ze strachu. Drży, ale z nienawiści i żądzy odwetu. Gdyby losy ją powiodły na szafot, uśmiechnęłaby się zapewne do kata, podobnie jak żona Ludwika Kapeta, szepnęłaby może *bon mot* równie dumne jak kawaler Lauzun, ale nigdy, przenigdy nie błagałaby o litość, tak jak pani Du - Barry! Teraz zrozumiała nareszcie, że jest narodowości - wersalskiej i do reszty zobojętniała dla mizernego kraiku na Wisłę, który wkrótce zniknie z kart Europy.

Czasy idą coraz cięższe. Coraz więcej krwi zmieszanej z pudrem rokokowych twarzączek, coraz boleśniesz straty w błyszczącym szeregu francuskiego highlife'u. Ks. marszałkowa trwa na stanowisku. Niezłomnie, *sans peur ni repro - che*, w nieustannem niebezpieczeństwie życia. Konwent wie o jej stosunkach z dworem, to wystarczy, wiadome też jej gorące sympatię dla Anglii, a słowo „anglofil” jest oskarżeniem naj - twardszem. Signor Piatoli widnieje na liście podejrzanych. Może schronić się pod opiekę tych rodaków, którzy, jak Błeszyński i Albert Sarmata nawiązują stosunki z konwentem? Prze - nigdy, raczej szafot! W kole najbliższ} szczyrby z dniem każdym większe. Panią de Lamballe i panią de Mouchy zamknięto wraz ze złodziejkami w więzieniu „Petite Force”. Kuzynka ks. marszałkowej, Rozalja

Lubomirską, odda wkrótce głowę katowi i ścierpi udrukę umizgów krwawego Robespierre'a. Wiele zobaczy i wiele przeżyje ks. marszałkowa. Jedną z pierwszych ofiar w mordach rześniowych Dantona w r. 1792 będzie jej p. przyjaciółka pani de Lamballe. Wywleczono ją z więzienia, cięto przez głowę szablą, powalono o ziem. Potem tłuszcza w trójbarwnych wstęgach poćwiartowała zwłoki ochmistrzyni. Głowę ws-



p. A. BAUDOIN: -

PUSTY KOŁCZAN 1... dzono na pikę i obnoszono po ulicach. A w owym samym czasie Greuze, przyjaciel ks. marszałkowej, najśladzszy malarz główek dziecięcych, pracował nad portretem Dantona. Zaprawdę, świat się skończył!...

Jak ocalała życie, jak wydostała się z purpurowego od krwi Paryża, nie wiemy dokładnie. Ignacy Potocki dążył do Lipska, aby przygotowywać ruch powstańczy w Polsce, ks. Elżbieta jechała, aby Francję ratować z topieli. Jechała tam, gdzie dążyli

wszyscy exule, do miasta, które dało życie nieszczęśliwej królowej - do Wiednia.

*

**

Palais Royal zmienił nazwę i miejsce. Wygnanka rozbiła namioty we wspaniałym pałacu Esterhazy na Bastajach, który wkrótce zasłynie, jako ostoja wygnanego z rajów rokoka i jako punkt zborny emigrantów francuskich.. Pałac na Bastajach urósł wkrótce do rzędu wielkiej ambasady Bourbonów, stał się kuźnicą przeciwwolucyjnych poczynań i wszedł w ścisłe stosunki z poselstwami Rosji i Wielkiej Brytanji. Na Bastajach znachodziło przytułek wszystko, co ultra - zachowawcze, restauracyjne, anglofilskie. Anglofilizm ks. marszałka Romans Prababki¹⁰ wej znalazł nowe, obfite ujście. Ugaszczano - zapisuje historyk - wszystkich utytułowanych emigrantów, agentów rojalistycznych", chroniły się pod opiekę polskiej magnatki damy bez ziemi, d juko wie bez fortuny.

Latem dwór wiedeński ks. Elżbiety zjeżdżał do Galicji. Rezydencja w Łańcucie miała teraz zastąpić rozkosze Wilanowa, Mokotowa i Międzyrzecza, które pozostały w odgradzonej kordonami Polsce. Z czasem znalazły się tu skarby, nagromadzone w Palais Royal w Paryżu. Cała karawana błyskotek i nadzwyczajności, obrazów, waz i rzeźb, wykopalisk z Pompei i porcelany chińskiej, przybyła na Łańcucki Zamek. Urządzono galerję rzeźb i teatr, adamaszkiem złotopurpurowym wybity. Służbę, od forysia aż do marszałka dworu, składali przybysze z nad Sekwany, wiele rodzin emigrantów francuskich przyjęło gościnę magnatki, a najwięcej opływał biskup Laonu, Ludwik de Sabran, który lubił piękne kwiaty i stare wina. Wedle słów p. Wąsowiczowej „ks. biskup nigdzie na świecie nie miałby tak wspaniałego wytwornego mieszkania”, a przeto z wdzięczności pomagał dostojnej damie trwonić fortunę, ile tylko mógł, w zamku, w którym Władysław Jagiełło poślubił przed wiekami Elżbietę

Pilecką. „Stół w Łańcucie - opowiada w pamiętnikach Leon Dembowski - był jak można tylko najlepszy, toż samo i usługa, duma jednak i surowa etykieta oddalały stąd towarzystwo i piękny ten zamek z całym swoim przepychem zawsze

był smutny i pusty, bo kilkanaście sztywnych osób, rozprószonych po tych niezmiernych komnatach, ginęło niepostrzeżenie". Na pokojach łańcuckiego zamku nie usłyszałeś jednego sarmackiego słowa, dwór cały jęczał w szponach zimnej i bezwzględnej etykiety, ale bywać tam było szczytem arystokratycznej dystynkcji. Dość powiedzieć, że sam ks. biskup warmiński Ignacy Krasicki, któremu już nic na świecie nie imponowało, tak w r. 1793 pisał do brata: „Zapewne będziesz „Waćpan w Łańcucie u ks. marszałkowej. Proszę i bardzo proszę, żebyś moim imieniem „nawiedził, a pozdrowił księżnę i powiedział jej, „że to musi być jakiś czarnoksiężnik, który nie „pozwala nam się widzieć i że ja wsiądę na „hipogryia, albo w końcu na balon, żebyś ko - „niecznie tego dokazał, iżbym się z nią mógł „widzieć. Oglądaj Waćpan ciekawie piękności „Łańcuta i o wszystkim relację uczynić! Jak „będziesz jadł przysmaki i nowalje, jedną zjedz ^, za siebie, drugą za mnie, toż samo wypijaj „a opowiadaj, jak ja zazdroszczę i żałuję, że „tego wypełnić nie mogę!”

Między Bastajami a Łańcutem upłynie jesień życia ks. marszałkowej, wypełniona do cna najnowszą i ostatnią nienawiścią. Miejsce Stanisława Augusta, Robespierre'a i Marata zajął teraz ktoś inny. Usług pani D'Ugriumow użyłaby teraz z rozkoszą przeciw człowiekowi, który wyrósł nagle ponad dymiące zgliszcza *ancien regime* i podniósł w chwale sztandar nowej Francji. Nazwisko niegodziwca nie ważmy się nawet wspominać, albowiem zabraniała go w swych pałacach wymieniać ks. marszałkowa. „Bezczelny parweniusz i zuchwały złoczyńca, ścigany listami gończymi” przejmował sędziwą panią większą odrazą, niż nawet krew gilotynowanych ofiar. Już chciała uwierzyć w istnienie piekła, bo jeśli piekło jest, to pierwszy konsul gorzej w nim będzie po trzykroć straszniej, niżli świętokradcy, hostję deptający. Pierwszy konsul nawzajem niezbyt adorował baby z *ancien régime*. Był zdania, że kobieta przez trzy ćwierci dnia winna zajmować się robotkami ręcznymi, a pani de Stael posłał złoty napaństwo, niby złośliwą wymówkę. Ks. marszałkowa nie lubiała robótek ręcznych, więc tembardziej zniechęciła Napoleona. 1 znowu wszystkie splendory bytu swego oddała na usługi tej

nienawiści. Kapitulacja w Campo Formio stanie się ciosem stokroć boleśniej, niż klęska pana Kościuszki pod Maciejowicami, egzekucja ks. d'Enghiena wyda się Bastajom czynem ohydniejszym od rzezi Pragi. Na wieść ośmierci ks. d'Enghien przybrała żalobę i na kilka tygodni umarła dla świata markiza na Bastajach. Oprzytomniawszy prowadziła z tem większą furją wojnę świętą.

Z Habsburgami łączą panią z Łańcuta stosunki serdeczniejsze nawet, niż z wyniosłym dworem Bourbonów. Wiedeński królewskoapo - stolski *Hof* bywa często na MolkerBastei, małżonka Franciszka 1. darzy ks. Elżbietę sentymentem najczulszym. Ilekroć niedobry katarek zatrzyma princesse maréchale pod haftami łóżeczka, zaraz przed bramy pałacu zajeżdża karoca dworska z lokajami w złotych kapeluszach. Ks. marszałkowa staje się bożyszczem, najwyższą instancją, wydającą wyroki w imieniu *Louis XV*. Od nowa trzeba zacząć budować życie wytworne. Młyny, fabryki, sioła i kopalnie pracowały dalej znojnje, nie dla Paryża już, ale dla Wiednia; pracowały na to, aby w kilku pokoleniach *society* naddunajskiej żyć mogła koncertów, szlichtad, went i assambli, urządzanych przez księżnę Elżbietę. Z Polską nie odnawia ani towarzyskich, ani rodzinnych stosunków. Poseł rosyjski w Warszawie Bułhakow pisze w swym dzienniku: „Marszałkowa do córek swych nie pisuje i podobno wcale do Polski nie wróci”. Na Bastajach tymczasem rej wodzą trzej panowie: Kawaler Jean de la Chaire, kawaler Francois Gabard de Vaux, oraz hultaj warszawski Corticelli, rabując w trójkę, co się zmieści. Księżna marszałkowa oddana cała manji dobroczynności. Wraz z matką emira Rzewuskiego rozsiewają krocie między ubogich Wiednia, Łańcuta i Krzeszowic, aż gmach fortuny Denhoffów i Opalińskich zaczyna chwiać się w posiadach. Pięćdziesiąt lat życia wytwornego zdołało wreszcie zachwiać jego fundamentami. Za to pan Kolanowski „bywszy kapitan wojsk polskich” napisał na cześć gra - fini piękny wierszyk, w którym zgoła odmiennie od pana Węgierskiego pisał o czterech Elżbietach:

Była Plotina, żona cesarza Trojana Między bogi liczona, za dobroci dzieła
Była Bussa, łaskawa, od ludu kochana, Która cześć znakomitą od ludu powzięła,
Była córka Andrzeja, króla węgierskiego Elżbieta trzecia, biednych matka

rodna I za świętą uznana od tronu świętego.

Tyś CZWARTA, dzieło Boga, hołdu tego godna!

Tymczasem los przekorny gotował nową niespodziankę księżniczce z tysiąca i jednej nocy. Pierwszy konsul zawładnął Europą. Teraz sama nie wiedziała co było straszniejsze: Greuze malujący portret Dantona, czy Napoleon w mu - rach Wiednia! A do bram pałacu kołatała delegacja przerażonych wiedeńczyków, którzy błagali, by ks. marszałkowa wyprosiła im u Zajączka, komendanta placu ulgę w spłacie nałożonej kontrybucji!...

*

Jak ogród po wielkiej burzy dobywa nowej, wspanialszej woni z kwiatów na klombach barwą świeżą krasa stalowe listki, tak rozblęsnęły salony pałacu na Bastajach, gdy zwołano do Wiednia kongres wiedeński. Pod ja - snemi boazerjami ścian stanęli rzędem monarchowie, w poręczowym krześle zasiadła, promieniejąc 84 - letnia grandę - dama. I zdało jej się, że czas cofnął się o pół wieku, że jest znowu młodą i piękną, że powróciła na dawne korne służby *ancien régime**u. Wielka rewolucja minęła jak zły sen, parweniusz, który chciał władać światem, oczekiwał na Elbie sądu, jaki nań złożyć mieli najmiłościwiej nam panujący cesarze. W poręczowym krześle zasiadła ks. marszałkowa, jak żywa, czcigodna pamiątka urosła znowu do wyżyn symbolu. Aleksander 1. całował dłonie staruszki, jak relikwie, dziewięciu królów Europy złożyło jej wizytę w pierwszym dniu po przyjeździe, do bram pałacu dążyły tysięczne pielgrzymki highlife'u wszech stolic, aby hołd złożyć kobiecie, która dotąd nosi czepki *à la Louis XV.*, pamięta Wersal, delfina Fryderyka i panią de Pompadour. Pani szesnastu miast i pięćdziesięciu włości, udzielała młodemu pokoleniu ostatniej lekcji dobrego tonu i rozrzutności, szła im przedśmiertne pozdrowienie rokoka. Czas cofnął się o pół wieku. Króle i cesarze tańczyli z córkami bankierów walca na parkietach Bastajów, odżyły assamble z Palais Royal, dawano co tydzień przedstawienia amatorskie, jak ongi w Wilanowie. Staruszka w poręczowym krześle dawna reżyserka i heroina zabaw, patronowała młodemu pokoleniu. Tak też było i w dniu 7. marca 1815. Na spektakl obrano

pantominę: „Taniec przerwany”. I trudno było o lepszy wybór.

Albowiem tego wieczora zakończył się błyszczący taniec. W ciągu wieczora wybuchł nagle popłoch wśród zebranych gości ks. marszałkowej. Jak niegrzeczny piorun uderzyła wieść, której wszyscy oczekiwali, ale nikt nie wierzył: Napoleon uciekł z Elby i wylądował w Cannes! W mgnieniu oka salony pustoszeją. Królowie i dyplomaci, bankierzy i arcyksiężęta rozbiegają się w popłochu. I została tylko w poręczowym krześle, w czepku Louis XV., sędziwa pani, otoczona fraucymerem wspomnień, została sama, jak symbol i żywa pamiątka. Przekorny los, który przez życie całe barwił nudę ks. marszałkowej, obdarzył ją u schyłku dni sytuacją, jakże przepyszną, szekspirowską.

Potem przyszło sto dni cesarstwa, Water - loo, bitwa narodów, św. Helena. Stara ks. marszałkowa dziękowała staremu Bogu, że jej pozwolił dożyć i oglądać. Wieczorem 8. lipca 1815 r. powrócił ostatni z Bourbonów, Ludwik XVIII. do Tuillerjów. Ostatnia marszałkowa „bywszego królestwa polskiego” mogła umierać spokojnie. Lady Shelley była jeszcze u niej na herbacie, hołd niosąc sarmackiej *gentlewoman*, a potem przyszła śmierć 25. listopada 1816.

Na cmentarzu w Währing wzniesiono kapliczkę z ciosu. Był to kamień grobowy polskiego rokoka i ostatni splendor darny wytwornej, której życie długie rozsnuło się szlakiem barwistym pomiędzy wojną siedmioletnią a kongresem wiedeńskim. W kościele św. Krzyża V/ Warszawie odbyły się uroczyste egzekwie za duszę matrony. Na kazalnicę wstąpił, jak się rzekło, ks. biskup Paweł Woronicz i wiele, bardzo wiele miał kłopotu, gdy mu przyszło wyliczyć zasługi, położone dla Polski przez dostojną zmarłą. Cytaty z pisma św. dopomogły jakoś i ks. biskup zdołał zwycięsko wybrnąć z arcyciężkiego kłopotu.

GWIAŹDZIARKA.

z **PAŁACÓW**, sterczących dumnie, pójdziemy do klasztornej celi. Zapomnijcie o pudrowanych gentlemanach i o cudach dwustopowych fryzur. Tak każe nietylko surowa reguła zakonu PP. Cystersek w Ołoboku, ale i - historia. Od narodzenia Chrystusa Pana nie zdołało jeszcze upłynąć więcej, jak tysiąc sześćset

czterdzieści lat. Europa ugina się pod ciężarem wojny siedmioletniej. Sprawy są bardzo zawikłane. Kto z kim wodzi się za łby, nie łatwo dojdiesz, a już w klasztorze PP. Cystersek w Ołoboku wojny wcale niema. Nietylko w Ołoboku, ale w Kaliszu nie słyszano o niej, choć Kalisz aż o dwie mile od klasztoru odległy. Mniszeczki niezbyt rade ze swojego losu. Życ muszą w cichości jako „oddane Bogu na ofiarę gołębiczk i żadnej wyjść nie wolno poza ogrodzenie z tarcic, zwane klauzurą”.

Dawniej działało się lepiej. Mniszeczka każda w osobności „mięsa, piwa i innych do gustu służących alimentów” używała, folgując zabawom do syta. Niczego nie brakło PP. Cysterskom w Ołoboku, chyba pięknej duszy Joanny d'Alcoforado, która w portugalskim klasztorze pisała cudne, od wszystkich poetów cudniejsze, listy miłosne do nieczułego markiza de Chamilly! Lecz teraz wiele niedostaje. Niedobra ksieni Elżbieta Ciemieńska ujęła gołębice w rygor przystojny. O 6-tej rano medytacja, 08-mej prima, o 10-tej tercja, potem sexta nona, o 3-ciej nieszpór, o 8-mej jutrznia. Przy stole książka duchowna czytana być musi. A nikt inny, jeno sędziwy opat z zakonu Cystersów spowiadać siostrzyczki może. Pociecha w tem tylko, że w innych zgromadzeniach jeszcze gorzej mają. PP. Dominikanki w habicie sypiać muszą, na jutrznię wstawać nocą, *silentium* zachowywać pod karą. Benedyktynki chodzą w kocykach grubych a szerokich, u „gęby zasię zatyczki mają”. Gdy święte kosteczki ksieni Ciemieńskiej złożono na spoczynek wieczny w podziemiach klasztoru, zajaśniała na urządzie, niby świeca na lichtarzu, ks. Zofja Lubieńska i dotąd jaśnieje. Gdzieś tam. na świecie, poza murami klasztoru jest wojna. Mało o niej wiedzą Panny świątobliwe, zajęte dzierganiem złotych i srebrnych haftów dla królowej polskiej. Dzika i straszna musi być ta wojna, skoro z pobliskiego Śląska ludziska z całym dobytkiem chronią się w granice Rzeczypospolitej pod opiekę mocnego króla Władysława.

Wojna sprowadziła do klasztoru dziwnego gościa. Na brankardzie ładownym zajechała właśnie na dziedziniec klasztoru jakaś białogłowa, nie stara i nie brzydka, z mężem, Niemczurą w pludrach. Jadą aż ze Świdnicy. Białogłowa podniosła najpierw przed mniszkami lament gwałtowny na żołdactwo, które ją po drodze z wszystkiego

mienia obrabowało, zaczem prosiła o gościnę. Ksieni Łubieńska ma giętkie w sercu swoim sprężyny, więc przystała.

A siostrzyczki patrzą ciekawie, co też kryje we wnętrzu brankard ładowny. Myślały, że skarby i dobro wszelakie, zaśby tam! Księgi uczone, maszynierje, szkiełka i mikstury. Białogłowa jest pono gwiazdziarką. Córka doktora ze Świdnicy, Marja Kunicka. Męża, tego Niemczurę w pludrach, chciała ze sobą zabrać do klasztoru, ale został we wsi, bo reguła wzbrania. Na nudne czasy dobra i gwiazdziarka. Przepowie słotę i pogodę, bańki postawi, będzie wróżyć o wojnie i szczęście z gwiazd wyczyta.

Zanim się to stanie, nim brankard ładowny rozpakują, zobaczymy, jak jego znakomitego gościa podejmował u siebie klasztor PP. Cystersek. Panny świątobliwe ani przypuszczają, bo nieuczone, ale zapytajcie pana Heweliusza w Gdańsku, albo Gassendi'ego w Paryżu, ci cenią dziwną damę wysoko. I wiedzcie, że sam Copernicus w Toruniu byłby ją także podziwiał, gdyby od stu lat w grobie nie leżał. Zwyczajny śmiertelnik jedną mową włada, panna Kunicka zasię aż sześć języków w gębie posiada: polski, niemiecki, łaciński, grecki, francuski, hebrajski. Córka, jak już słyszeliśmy doktora ze Świdnicy, który umarł niedawno, a szkoda, bo mądry był. Nie poprzedzając na gospodarstwie w ojcowych Kunicach, zajmował się filozofią, medycyną i wszelaką wiedzą ścisłą. Niemcy śląscy niezbyt go miłowali, bo był *natione Polonus* i strzegł mocno swego dobrego polskiego nazwiska. Gdzie pan doktor swą Nowojkę kształcił nie wiemy, może w Wrocławiu albo i w Krakowie, dość że wyuczona tego, a wszyscy zwą ją „Palladą Śląska (*Pallas Silesiae*). Całymi dniami czyta w książkach, w izbicy, całymi nocami, bywało, czyta w gwiazdach, na dachu. Taki już zwyczaj u tych astrologów, z którymi panienka w korespondencji ciągłej i przyjaźni. Sęk w tem, że na ojcowskim domu nie masz takiego dachu płaskiego, jak go Heweliuszowi w Gdańsku pobudował teść jego, browarnik. Połowica tego Heweliusza umie także obchodzić się z teleskopem, z czego Gdańszczanie mają tysiąc pociech. Bo owi państwo Heweliuszowie czatują na zmiany na swym płaskim dachu, patrząc pilnie w słońce. Wyrachowali sobie, że pomiędzy 1-szym alltym maja, księżyc przejdzie przez tarczę słońca. A przeto przez

całe dwa tygodnie wiosenne, przesiedziało małżeństwo bez przerwy na czatach na dachu, by momentu nie prześlepić. Od Heweliusza nabrała panna Marja Kunicka owych dziwnych manier. Zna także i innych gwiazdździarzy; Bouilauda i Gassendi*ego w Paryżu, Kirchbacha w Awinionie, którzy wszyscy twierdzą zgodnie, że po raz pierwszy w dziejach świata niebo gwiazdździste rozwarło swe tajemnice przed kobietą..

Marja Kunicka czyta w gwiazdach, jak w książce. I pisze o tem mądre dzieło, gdzie poprawione będą błędy Kepplera i Longomon - tana, dzieło, z którego Imci Copernikus radowałby się wielce, gdyby od stu lat w grobie nie leżał. Ale Marja Kunicka jest białogłową. Tedy zdarzyła się rzecz zwyczajna:

Romans Pr&babki.

Do serduszka zapatrzonej w gwiazdy panienci zapukał amor. Zapukał, wszedł i, o dziwo, nie uczynił jej żadnej szkody, wbrew swemu zwyczajowi. Maria Cunitia (bo tak ją piszą po łacinie) zakochała się w swoim profesorze matematyki. Był to Herr Elias von Löwen, który przyjechał do Świdnicy w odwiedzinach do starego Eskulapa. Herr Elias b)4 Niemczuchem zawziętym, c)Je w owych czasach na Śląsku amor o nację nie pytał. Sam zresztą opowie orzeczy: *Cum primum Swidnitiam venissem, constans fama erat dni Henrici Cunitii docto - ris filiam*". „Gdy przybyłem do Świdnicy, „miała tam wielką sławę córka Henryka Kuni - „ckiego, doktora filozofji i medycyny, która „studjowała nietylko naukę języków i historii, „lecz także szczególnie śledziła astrologję, *sive „praedictiones phisicas*. Nie mam zwyczaju być „natrętnym, więc nie chciałem dokładniej „w rzecz wglądać. Gdy jednak, dzięki pokrewieństwu naszych studjów zawarłem znajomość „z ojcem panienci, poznałem rychło, że sława „jej nie jest ani bezpodstawna, ani przesadzona. „*Orba parente matrimonium mecum contraxit* Co znaczy: „Po śmierci ojca została moja „żoną. I odtąd pracowaliśmy razem nad ułożeniem tablic astronomicznych. W ciężkiej tej „pracy z pomocą Bożą podjętej, była Marja „Cunitia pilną, cierpliwą, wytrwałą, przezorną. „Lecz nadeszły czasy, niesprzyjające usiłowaniom naukowym. Wybuchła wojna. Mars zniszczył ogniem i mieczem naszą prowincję „szląską.

Musieliśmy uciekać do sąsiedniej Polski. Ale zanim przekroczyliśmy jej granice, „zrabowali nas doszczętnie żołdacy, wbrew „prawu i sprawiedliwości, wbrew położonemu „w nich zaufaniu. Dopiero najczcigodniejsza „i jaśnie wielmożna pani Zofja Łubieńska, „przeorysza klasztoru w Ołoboku, dała nam „najłaskawiej schronienie”...

Wiemy już tedy, kogo goszczą u siebie PP. Cysterski w Ołoboku i dlaczego brankard ładowny mieści we wnętrzu tyle ksiąg, dziwnych szkielek i maszynerji. Atoli niewiele pociechy mieć będą z dziwnego gościa świętobliwe panny w Ołoboku. Gwiazdziarka zawiodła oczekiwania: nie chce im czytać szczęścia w gwiazdach, ani baniek stawiać, ani losów przyszłych przepowiadać. Nie umie nawet powiedzieć, kiedy wojna się skończy. PP. Cysterski zaczęły mocno powątpiewać w talenty panienki i kiwają z niedowierzaniem głową, gdy im tłumaczy, że nic gwiazdom do życia człowieka, a w linjach zodiaku wyroków przeznaczenia nie szukać.

Mówi dalej Marja Cunitia, że gwiazdy i księżycy są ciałami niebieskimi, jak ziemia nasza, a człowiekiem się nie zajmują, bo on maluchny[^] niczem ziarnko piasku, i jak robaczek mizerny. Nie po to patrzy w gwiazdy astronom, by tajemnic dociekał, lecz prawdy wypatruje i mądrości. Słuchała tej mowy sama ksieni z pastorałem i panny świętobliwe, ale nie nazbyt rade. Jejmość prawi podobnie, jak ongi stary Copernikus, co to ziemi kazał wirować wokół słońca, a sam nie wiedział dobrze, która gwiazda zodiaku śmierć człowiekowi obiecuje, a która szczęście doczesne. Gdy, na domiar wszystkiego, uparta gwiazdziarka nie chciała żadną miarą powiedzieć, co też wróżyc może krzyż z mieczem i trzy słupy na niebie, które onegdaj wszyscy oglądali, klasztor ołobocki stracił do niej zupełnie zaufanie i zostawił w spokoju w gościnnej celi. Siostrzyczki świętobliwe wróciły do haftów srebrnych i złotych, Marja Ku nicka mogła spokojnie obliczać dalej odległości planet. Z woli i rozkazu dobrotliwej Ksieni, zamieszkali oboje z mężem w murach klasztoru.

Dziewięć lat prawie trwała praca gwiazdziarki. W żmudnym trudzie powstawało dzieło astronomiczne o długim łacińskim tytule: „*URANIA PROPITIA sive tabulae astronomicae mire faciles, vim hypothesisium physicarum a Kepplero*

proditarum complexae. Zmieniały się czasy i ludzie, Marja Cunitia pracowała dalej. Umarła świątobliwa ksieni Łubieńska, żyć przestał mądry król Władysław IV. Po ksieni Łubieńskiej wzięła rządy ksieni Urszula Kobierzycka, po królu Władysławie wstąpił na tron Jan Kazimierz, - Marja Kunicka nie ustawała w pracy nad uproszczeniem sposobu obliczania odległości planet. Już wszystkie gwiazdy porachowane, mówiły z przekąsem świątobliwe siostrzyczki. W roku 1643 ukończoną została pierwsza część „Uranii”, w r. 1645 część druga. O benedyktyńskiej pracy rozchodziły się wieści po świecie. Astronomowie dopytywali się niecierpliwie o druk, poeci sławili Marję Kunicką już naprzód. Jeden z nich rymarz szląski, Cyprjan Cinner wołał w zapale: *Opus Ule nomen tuum fulgentibus inseret astris*, co znaczyło, że dzieło płonącymi gwiazdami wypisze imię Marji Kunickiej w dziejach ludzkości. Zanim te gwiazdy zapłoną, nie trzeba nadużywać gościny klasztoru, tedy przenosi się Marja Kunicka, a z nią razem Herr Elias von Löwen do miasteczka, gdzie ongi Maksy - miljan wziął ciągi od Zamojskiego - do Byczyny. I tam księgę tłoczą.

Tymczasem sława gwiazdziarki dotarła daleko, aż na dwór królowej polskiej. Marja Ludwika Gonzaga kocha bardzo sztuki piękne, ale nad wszystko przenosi astrologję. Lubi kazania Bossueta i krągłe wierszyki Morsztyna, złocistą bujność baroka, w polityce doświadczona na wszelkie sposoby, a przecież gnębią ją wątpliwości i pożera ciekawość: Dlaczego ćmi się słońce? Co znaczy, jeśli będzie widać na niebie trzy słońca we dnie, a trzy księżycy nocą? A może wcale nie będzie? Czy musi umrzeć nagłą śmiercią człek, który urodził się pod znakiem barana i pod aspektem czerwonym? Takie i inne wątpliwości trapiły duszę dobrej królowej, która wiedziała, że wojnę trzydziestoletnią prowadzą nie muszkietrzy, ale astrologowie. Patrzy w gwiazdy Wallenstein i król szwedzki, słucha astrologów jej mąż, król Jan Kazimierz. A teraz podczas wygnania śląskiego, kazał matematykom prognostykoać, jak długo potrwa nieszczęście. Wtedy astrolog Mikołaj Zórawski „erygował figurę, ale onej nie klarował” i dopiero za usilnem naleganiem wyrzekł wróżbę złowieszczą: „Odzyskasz Wasza Królewska Mość państwo, ale nie umrzesz w Polsce, ani królem”.

A na to wieść nadeszła, że w miasteczku Byczynie, w drewnianym domku, wśród błota niechlujstwa, zamieszkała z mężem pani w gwiazdach czytająca. Królowa polska postanowiła niezłocznie jej porady zasięgnąć. gwiazdziarce wie pono księżna Brzegu Opolu, tedy zalecono ministrowi królowej, panu Piotrowi des Noyers, iżby rzecz zbadał relację uczynił. W listach Piotra des Noyers pisanych w owym czasie do królowej szukamy tedy wiadomości, jak powiodła się misja. Istotnie, podskarbi des Noyers donosi w swych raportach pilnie o Marji Kunickiej, ale stwierdza najczęściej, że nie wiele ma do doniesienia. Z krótkich, i skąpych wzmianek widać, że Kunicka nie kwapiła się do służb królewskich, wiedząc z góry, że uczyni dworowi taki zawód, jak już uczyniła świątobliwym PP. Cysterskom.

Atoli los sam zbliżył gwiazdziarkę do dworu królowej. W parę lat po opuszczeniu klasztoru w Obłoku, spotkało ją wielkie nieszczęście: cały dobytek i wszystkie owoce jej pracy naukowej padły w r. 1655 ofiarą pożaru. W żałosnych słowach łacińskich donosiła o tem panu Piotrowi des Noyers: „Dnia 25. maja „o godzinie 10-tej wieczorem, gdyśmy się tylko „spać położyli, nagle w trzecim domu u sąsiada „wybucha ogromny pożar! Wskutek posuchy „płoną w mgnieniu oka wszystkie drewniane „domki naokół, tak, że w chwili naszego prze - „budzenia dom cały już płonął i nie zdoła - „liśmy uratować ani jednego strzępa, oprócz „życia! Całe nasze mienie, biblioteka i przy - „rządy naukowe, aparaty chemiczne i astrono - „miczne, tajemne medykamenta, zbierane przez „lat trzydzieści przez mego męża na pożytek „dzieci z największym mozołem i kosztami, „dalej z górą dwieście najpewniejszych obli - „czeń astronomicznych, listy przyjaciół - „wszystko w ciągu pół godziny zmieniło się „w garść popiołu!”

Biedna pani von Löwen!... Bo mniejsza o tajemne medykamenta, ale cóż stanie się z obietnicą nieśmiertelności, czy imię jej nie będzie już wypisane płonącymi zgłoskami w dziejach świata, czy dzieło też zniszczało w Byczynie?

Na szczęście „Urania” ocalała. Druk pracy całego życia ukończono już bowiem w Byczynie i rozesłano ją astronomom, i uczelniom całego świata. Marja Kunicka bez dachu nad głową, przyjęła gościnę księżnej Brzegu w Opolu. Tam

przebyła czas dłuższy i przedstawioną była królowej. Czy zaspokoila wątpliwości Najmiłościwszej Pani, czy brała udział w wytwornych sympozjach literackich, urządzanych przez ks. Brzegu na cześć królowej - tego nie wiemy i... nie ciekawiśmy nawet. Bo mimo współczucie dla pogorzałej gwiazdziarki, mimo podziwu nad jej wiedzą tajemną - straciliśmy nagle serce dla Marji Kunickiej. I to z chwilą, gdy wyszła z druku jej książka. Skądże oziębłość nagła? Bo oto w przedmowie do dzieła tłumaczy się gwiazdziarka, dlaczego spisała swe obserwacje w języku łacińskim, a nie... niemieckim. I dodaje: *ego ger - mana natione.*" „jestem niemieckiej narodowości"! Śnać małżeństwo zmieniło uczucia gwiazdziarki, zapomniała o swem pochodzeniu, wyparła się polskiego szlachectwa swych rodziców.

Natione germana". Od tej chwili przestała nas obchodzić książka i mądrość Marji Kunickiej, która zachowawszy w swych pracach panieńskie polskie nazwisko, nie zachowała polskiego serca, lecz ofiarowała je w dedykacji „Uranii” „boskiemu Ferdynandowi 111, cesarzowi rzymskiemu”.

Herr Elias von Löwen dopiął swego: małżonka jego zniemczała przy teleskopie. Mędrzec z Torunia, z którego wiedzę czerpała, nauczył ją wielu tajemnic, ale nie zdołał wpoić w nią swej nieugiętej polskości. Świątobliwe mniszeczki w Ołoboku pomyliły się, mówiąc, że jest taka sama, jak ów Copernikus. Nie była taką samą. Nie dał się zagrabić Niemcom kanoni - kus warmiński, choć chcieli bardzo, zaśię Marja Kunicka sama do nich poszła, pogardziwszy krajem, w którym królowe łakną wróżby z gwiazd, a domy drewniane stają się łatwo pastwą pożaru.

Lecz chociaż sama przekreśliła swą polskość, należy, abyśmy wiedzieli o wyrodnej wnuce Kopernika i aby w dziejach polskiej kultury Śląska powiedziano, że w klasztorze ołobockim, w XVIItem stuleciu, żyła pani dziwna, przed którą niebo gwiazdziste rozwarło swe tajemnice.

1

PRZYPISY.

DAMA Z KARZEŁKIEM.

W ydania i przekłady pamiętników Borusławskiego' zob.: Estreicher,

Bibliografia t. XIII. 283; - Por. także przedmowę do przekładu francuskiego. - Listy angielskie Borusławskiego oraz wierszyki na jego cześć są w rkp. Muzeum XX. Czartoryskich (nr. 2798). Drobne wzmianki w: *Correspondance de Madame Geoffrin* ed. Mouy. Paris 1878. (W wyd. Siemieńskiego, str. 94).

O karłach wogóle: Larouse, *Encyclopédie* (s. V.); Gaston Maugras. *La cour de Luneville*, 218-219; Bachaumont. *Mémoires secrets 1762-1767*. T. I. 165; Gołębiowski Ł. *Domy i dwory*, 213; Ochocki J. D.. *Pamiętniki IV*, 235; Stecki H. *Wspomnienia mojej młodości*. Lwów 1895, str. 57; Małachowski, *Pamiętniki*, 60; Jabłonowski L. *Złote czasy i wywczasy*., Lwów 1920, str. 33; Tripplin T. *Tajemnice społeczeństwa*. Wrocław 1852. II. 223 i w. i.

O pani H umieckiej: Michałowski Bartłomiej. *Pamiętniki*, III, 1918; Smoleński Wł. *Ostatni rok sejmu wielkiego*, 171; Sievers. *Drugi rozbiór Polski; Przypadki Króla Jegomości* (wyd. Wasylewski) 1920, 169-

NIENAWIŚĆ SIOSTRA MIŁOŚCI.

Ks. Lubomirską na „Rejtanie” Matejki: Należy zauważyć, że umieszczenie postaci ks. marszałkowej w loży sejmu grodzieńskiego jest dowolnością historyczną Matejki, bawiła bowiem wówczas za granicą.

(Str. 119-127). Stanisław August. *Pamiętniki*, wyd. Konopczyńskiego, str. 72; *Przypadki Króla Jegomości* (wyd. Wasylewskiego) str. 6-9; Konopczyński Wł. Artykuł (s. v.) w *W. Encyklopedji ilustrowanej*; Glattman L. *Szkice historyczne, Prababy wielkich rodów*, Kraków 1906, str. 205-220; Mme Geoffrin. *Correspondance*, str. 303; nast.; Herrman. *Geschichte des russi - chen Staates VI*, 112. - Korespondencja ks. marszałkowej z królem zob. *Autografy Bibl. Ossol.* nr. 113-121 oraz rkp. Muz. Czartoryskich nr. 670.

Zugh. *Ogrody warszawskie*. Ateneum Kraszewskiego. T. VI 51. Niemcewicz *Podróże po ziemiach polskich*, 154, 157; Kraushar. *Stara Warszawa I*, 47; Dębicki L. *Puławy*, 11, 316 111, 318 sq. Kraushar. *Relacja podróżnicza*. Ognisko, 1904 nr. 4. *Przypadki Króla Jegomości*. Lwów 1920, str. 27. Kraszewski. *Polska w czasie trzech rozbiorów*, (wyd. II.) I, 80, II. 274-5, 349, 424; Morawski K. M. *Ignacy Potocki*, 10,

32, 57, 59, 60, 127. Kalinka. Ostatnie lata panowania St. Augusta, t. I, 223, 267, 270, t. II, 302; Lafontaine. Medizinishirurgische Abhandlungen. Leipzig 1788, str. 166-168. Zaleski Br. Żywot Kniaziewiczza, str. 5.

(Str. 133 - str. 136) Sprawa pani D'Ugriumow: zob. obszerne przedstawienie u Kraushara (Drobiazgi, 1); K. M. Morawski. Ignacy Potocki, j. w.; Listy Jana de Witt, passim; Smoleński, Dzieje Polski t. III, 150;

Wasylewski. Na dworze króla Stasia. 144. - Pobyt za granicą: Potocka Anna. Pamiętniki, *Î*, 52; Czartoryski Ad. ks. Żywot G. U. Niemcewicza, 28; Listy Mniszchowej do matki (Rocznik Towarzystwa hist.lite - rackiego w Paryżu. Rok 1876) 176; Frauenbriefe an Casanova, str. 256; Duchńska Seweryna. Listy ks. Izabeli Czartoryskiej, 21. M R(adziwiłł). Ostatnia wojewodzina wileńska.

(Str. 136 - str. 149). Rewolucja i kongres wiedeński: Potocka Anna. Pamiętniki j. w.; Gräfin Lulu Thirgheim. Mein Leben, II, 16, 133 sq; De la Garde. Gemälde des Wiener Kongresses, K, 287; Askenazy. Napoleon a Polska, II, 201, 244-5; Lubomirski E. Obraz Wiednia. Warsz. 1821 (index); Kulczycki. Pamiętki polskie w Wiedniu, 316; Dembowski L. Moje wspomnienia, Petersburg 1898. I, 18; Waw/el - Louis Józef. Okruszyny historyczne. Kraków 1898; Kraszewski I. J.: Krasicki, 329. Wiersz o ks. marszałkowej: Naruszewicz A. Bukiet na imieniny... (1768); Kolanowski. Do J. O. ks. Elżbiety z Czartoryskich Lubomirskiej. Warszawa 1809; Kamiński T. A. Ku pamiętce zmarłej. Warsz. 1846; Worowicz J. P. Kazanie na pogrzebie... Warsz. 1916.

GWIAŹDZIARKA.

Dzieła Marji Kunickiej, które wyszło w dwu wydaniach, nie notuje Estreicher w swej Bibliografji. Opis książki oraz wyjątki z przedmowy podał dr. T. Żebra - wski w pracy: „Bibliografja piśmiennictwa polskiego z działu matematyki i fizyki”. Kraków 1873, str. 291-294; tamże list Eliasza v. Löwen. - Łaciński list

Kunickiej do Piotra des Noyers zob. w wydawnictwie: Lettres de Pierre des Noyers. Berlin 1859, str. 144-146; tamże drobne szczegóły o niej str. 15-18, 51, 127[^] 153, 161, 171.

Inne wiadomości zob.: Dr. Stanisław Karwowski. Klasztor PP. Cystersek w Ołoboku. (Roczniki Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu t. XXVI) i osobno: Poznań 1899 str. 50-1. - Deutsche Biographie t. IV, 641 (gdzie podano niemieckie życiorysy Kunickiej). - O astronomji w Polsce: Kacharzewski. Pamiętnik Tow. nauk ścisłych w Paryżu. Paryż 1872, t. II, 156-158. - Lengnich. Hevelius oder Anekdoten. Danzig 1780.

SPIS RZECZY.

Str.

1. Romans prababki... 3

2. Dama z karzełkiem 87

3. Nienawiść, siostra miłości 117

4. Gwiazdziarka'157

Przypisy 171

SPIS ILUSTRACJI.

1. *Bernardin de St. Pierre*, (wedle sztychu współczesnego).

2. *Norblin J. P.* Festival w Łazienkach w roku 1781.

3. Karzełek Borusławski (wedle sztychu angielskiego).

4. *Talizman Cagliost.a.* (Ze zbiorów autora).

5. *M. L. E, Vigée Le Brun*: ks. Marszałkowa Lubomirską (własność ord. Przeworskiej).

6. *P. Æ Baudoin*. Pusty kołczan!... (wedle sztychu Delaunay'a). *Na okładce*: portret pani 'Wielhorskiej wedle sztychu z obrazu

Greuze'a. (Reprodukcja w zbiorach; dra Mieczysława Tretera).

PRZED CZYTANIEM POPRAWIĆ:

miecznikiem, a nie:

tr. 8 iersz 0 od óry: *miecznikiem*

f	5	9	„		9	<i>de monsieur, a nie: du</i>
						<i>monsieur</i>

					<i>cher, a nie: chere</i>
>	7	9	„	9	
					<i>dopełnić, a nie: dopędzić.</i>
f	7	9	„	ołu:	
					<i>quatre glaces, a nie: quatres</i>
f	8	9	„	óry: glaces	
					<i>złotko, a nie: słodko</i>
9	0	9	„	ołu:	
					<i>je suis, a nie: je suits.</i>
9	1	9	„	9	
					<i>wykpigrosze, a nie:</i>
9	2	9	2 „	9	<i>wikpigrosze</i>
					<i>spotykania, a nie:</i>
9	4	9	7 „	9	<i>spatykowania</i>
					<i>poznawał, a nie:</i>
9	5	9	7 „	9	<i>poznawawał</i>
					<i>gniewy, a nie: gniew</i>
9	4	9	5 „	9	
					<i>góry: przez, a nie: prze</i>
9	6	9			
					<i>beaut' particulière, a nie:</i>
9	6	9	„	ołu: <i>béaute particulière</i>	
					<i>inconstantes, a nie:</i>
9	8	9	„	óry: <i>inconstants</i>	
					<i>z nimi, a nie: z nim</i>
9	0	9	„	9	
					<i>zgłosiła się, a nie: zgłosiła</i>
9	9	9	„	9	

					<i>Fedre, a nie: Fredre</i>
9	0	9	0 „	ołu:	
					<i>vertueuse, a nie: vertuese</i>
9	5	9	„	óry:	
					<i>bonohskiej, a nie: boneńskiej</i>
9	08	9	„	9	
					<i>dołu: célèbre, a nie: celebre</i>
9	09	110	0 „		
					<i>chuchać, a nie: huchać</i>
9	19	*	1 »	9	
					<i>zaważyła, a nie: zważyła</i>
9	21	9	„	9	
					<i>marszałkowa, a nie:</i>
9	23	9		óry: <i>miecznikoxua</i>	
					<i>sur son, a nie: sur sou</i>
99	26	9	„	9	
					<i>die, a nie: de</i>
9	31	9	»	9	
					<i>chef d'oeuvres, a nie: chef</i>
9	33	9	„	ołu': <i>d'oeuvre</i>	
					<i>prężą się, a nie: prężą</i>
9	36	9	„	9	
					<i>marszałkowej, a nie:</i>
9	37	9	„	óry: <i>małszałkowej</i>	
					<i>Greuze'a, a nie: Grezue'a</i>
9	37	9	„	ołu:	
					<i>księżniczek, a nie:</i>
9	38	9	„	9	<i>księżniczeb</i>

9	48	9	1 „	óry:	<i>nazwiska, a nie: nazwisko</i>
					<i>po słowie: mogła, dodać:</i>
9	49	9	„	ołu: <i>pamięć</i>	
					<i>stulone, a nie: stalowe</i>
9	51	9	„	9	
					<i>Nawojkę, a nie: Nowojkę</i>
9	60	9	„	9	
					<i>poprzestając, a nie:</i>
9	60	9	3 „	9	<i>poprzedzając</i>
					<i>Ołoboku, a nie: Obłoku.</i>
9	67	9	„	9	

Wasylewski, Stanisław Romans prababki

PLEASE DO NOT REMOVE CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY